

14434

BIBLIOTEKA HISTORYCZNO-SPOŁECZNA „NA STRAŻY”

JÓZEF POLIŃSKI

Z WALK
O
SZKOLĘ POLSKĄ

WSPOMNIENIA

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY: „NASZA KSIĘGARNIA” SKA AKC.
ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WARSZAWA --- WILNO



Józef Poliński.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNO-SPOŁECZNA „NA STRAŻY”

JÓZEF POLIŃSKI

Z WALK
○
SZKOŁĘ POLSKĄ
WSPOMNIENIA

WARSZAWA — 1939 r.

„NASZA KSIĘGARNIA” SKA AKC. ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA
POLSKIEGO — WARSZAWA, UL. ŚWIĘTOKRZYSKA Nr 18.
WARSZAWA ————— WILNO



14434

37 (09) (438)

OD WYDAWNICTWA.

Józef Poliński urodził się w Warszawie dnia 19 lutego 1891 roku, w smutnej popowstaniowej epoce. Od czasu powstania styczniowego upłynęło już lat 30 prawie i wysychały łzy wylewane po poległych i zesłanych na Sybir, ale „żyło jeszcze i znajdowało się w pełni sił, wielu uczestników powstania, mówiących o konieczności nowych ofiar”.

Były to czasy przedrewolucyjne, nabrzmiałe atmosferą buntu. Rodzili się wówczas i wychowywali ludzie wrażliwi, kształcili się serca i umysły o rozległym widnokręgu ideowym, obejmującym naród i lud. Rodziły się i rozwijały nowe idee, nowe spiski i nowe konspiracje. Z podziemnych kuźnic lepszego jutra wydobywały się hasła wolności narodowej i sprawiedliwości społecznej. Na takim podłożu wyrastały nowe czasy, czasy „kiedy zapal tworzył cudzy, nowości potrzasał kwiatem i oblekał nadzieję w złote malowidła”.

Autor niniejszych wspomnień był nieodrodnym synem owej epoki. Już w latach dziecięcych wyobraźnię jego rozpalały „zabronione” pieśni patriotyczne

z czasów powstania 1863 roku, śpiewane przez matkę jego Marię z Jankowskich Polińską i opowiadania ojca jego Ignacego Polińskiego, w pamięci którego znajdowało odbicie wiele wypadków z czasów powstania styczniowego.

Wśród takich nastrojów upływało dzieciństwo autora, powoli zamieniając się w młodzieńczy okres gorączkowej pracy myśli, okres wyrabiania poglądu na świat, na życie narodu i ludzkości, okres uroczy, najjaśniejszy w życiu, gdy coraz szersze widnokreśli zakreślają się przed olśnionymi oczami ducha.

W takiej epoce przełomu, rozmachu sił młodzieńczych, wszystko się w duszy burzy i wyrывa do światoburczych hasel: „Mierz siły na zamiary”.

Uczucia te potęgował jeszcze wpływ nieprzeciętnego nauczyciela-wychowawcy, Bronisława Malanowskiego, który w duszy młodego ucznia pobudzał zapal do nauki i miłość ziemi ojczystej.

Silniejszym jeszcze pod tym względem był wpływ przyjaciół, w pierwszym okresie — Janka Ulanowicza, ucznia tajnej szkoły polskiej, a w następnym — Witalisa Jurkowskiego i siostry jego Niny.

Witalis i Nina Jurkowscy byli to ludzie „jedni z najpiękniejszych duchem. Dobrzy, subtelni i bezinteresowni. Czuli zawsze potrzebę wyrażania swojej przyjaźni czynem”.

Przyjaźń mocna i bezinteresowna należy do rzadkości. Nie sądzonym było autorowi „Z Walk o Szkołę Polską” spotkać już takiej przyjaźni na dalszej drodze życia, to też w wiele lat później wyraża sarkastyczny żal, że

Na świecie zawsze tak bywało,
Zawsze niestety, będzie tak:
Uczonych dużo, mądrych mało,
Znajomych wbród, przyjaciół brak.

(Puszkina — przekład Józefa Polińskiego)

Jednakże, w środowisku kolegów i znajomych autora nie brakło młodzieży nieprzeciętnej, której myśli i dążenia wybiegały daleko poza sferę interesów osobistych. Do takich należeli: ś. p. Teodozjusz Grajner, Henryk Pietrusiewicz, Jan Czarnocki i wielu innych. Nie zabawa lub kariera, lecz poważna praca, nauka, samokształcenie, dobro ojczyzny i ludzkości było ich celem.

Przyjaźń i koleżeństwo w młodości mają ten słodki przywilej, że prowadzą w „rajską dziedzinę uludy” pozostawiając na całe późniejsze życie miłe wspomnienia. To też do tego okresu, stanowiącego niedościgłe „wczoraj” powraca często myśl autora w chwilach radosnych lub smutnych:

.....
Najmilsze sercu to co było,
Chwila obecna zawsze szara,
Wszystko przemija jak sen — mara,
A co przeminie będzie miłe.

(Lermontow — przełożył Józef Poliński)

Autor „Z Walk o Szkołę Polską” spędził dzieciństwo i młodość, w epoce ruchów wolnościowych, w otoczeniu ludu pracy, co na całe późniejsze życie pozostawiło w duszy jego głęboki idealizm, współczucie potrzeb nizin społecznych i zrozumienie dla więzi na-

rodowej. Te zasadnicze cechy osobowości autora stanowią w duszy jego czułą strunę, która dźwięczy głęboko i uroczyście. Dźwięk ten zabarwił jego dzieciństwo i młodość i na całe życie przesycił jego światopogląd i stosunek do zagadnień i pracy społecznej, co znajduje wyraz i we wspomnieniach „Z Walk o Szkołę Polską”.

Józef Poliński nie jest pisarzem zawodowym. Jest przede wszystkim działaczem społecznym, rozmiłowanym w pracy dla dobra ogólnego. Na pracę piśmieniczą poświęca rzadkie godziny, wolne od pracy zawodowej i społecznej. Ma już poza sobą szereg artykułów publicystycznych, drobne przekłady poetyckie oraz większą pracę, monografię historyczno-społeczną p. t. „Grochów — Przedmurze Warszawy”, w której podał obraz ciekawy, odzwierciedlający historyczną przeszłość Grochowa i Pragi i świętą ofiarę przelanej tam krwi, o nigdy nie przedawnione nasze prawa do Niepodległości. Poza tym, w księdze tej autor nawiązał do dwudziestoletniej działalności społecznej, w której brał bezpośredni udział.

Pracę tę i autora charakteryzują słowa przedmowy, które uważam za wskazane powtórzyć w tym miejscu:

„Nie zachowując postawy narratora, autor nie opowiada jedynie o zwykłym biegu działań, lecz pokazuje zdarzenia w oryginalnej formie własnego uczuciowego zabarwienia i w ramach swej nad nimi refleksji rozumowej, rozwijając swoje poglądy i swoje afekty uczuciowe, przez które z kart tej księgi wychyla się dyskretnie, lecz wyraziście, duchowe oblicze

autora. W tej właśnie formie znajduje wyraz indywidualność jego, żywa, a czasem impulsywna uczuciowość, niewątpliwy idealizm i pietyzm dla bohaterkiej przeszłości pokoleń, w walce z niewolą”.

W końcowych słowach recenzji, zamieszczonej w czasopiśmie „Na Straży” czytamy:

„Książka ta zawiera nie tylko zestawienie pewnych faktów historycznych o cechach świetnych i pięknych, nie tylko pokazuje wysiłek uspołecznionych jednostek, zrzeszonych w wysiłku pracy dla dobra ogólnego, ale ponad to staje się podręcznikiem miłości terenu, który od wieków był przedmurzem Warszawy w walkach z najeźdźcą.

Wydanie tej księgi odbiło się głośnym echem na bankiecie, wydanym w dwudziestolecie działalności Towarzystwa Przyjaciół Grochowa. Bankiet ten, który zgromadził przeszło 100 osób: przedstawicielei Władz Państwowych, Zarządu Miasta, stowarzyszeń społecznych i prasy, należał do niezwykle ożywionych. Obecni byli: prezydent m. st. Warszawy Stefan Starzyński, v-prezydent Kulski, starosta Jan Trzópek, ksiądz Jan Sztuka, płk Dunin-Wolski, płk Brochwicz-Lewiński, prezes Związku Stowarzyszeń Przyjaciół Wielkiej Warszawy płk Feliks Kamiński, redaktor mjr dr Marian Albiński, kpt. dypl. Czesław Lubecki, prof. Tadeusz Ziembkiewicz, artysta malarz, sędziwy mistrz Wojciech Kossak i inni. Wśród wielu przemówień: prezydenta Stefana Starzyńskiego, starosty Jana Trzópeka, księdza Jana Sztuki, red. d-ra Mariana Albińskiego i wielu in. przemówień, w których nie brakło słów uznania dla autora, znalazł się tam

i żartobliwy toast, wygłoszony przez prawnika Henryka Grosmana, podnoszący zasługi autora „Grochowa”, zdobyte na polu pracy społecznej. Była to parafraza, odtwarzająca charakterystyczne cechy „psyche” autora, jako działacza społecznego. Dlatego uważam za wskazane wiersz ten powtórzyć w tym miejscu:

Wśród wyrazów uznania dla prac autora,
Sądzę, że już nadeszła odpowiednia pora,
Kiedy, jak nad zmarłymi Egipcjanie starzy,
Zrobimy sąd nad jednym z grochowskich pisarzy.
Autorze grzeszniku, chociaż chodzisz w sławie,
Zajmij miejsce właściwe na podsądnych ławie,
Schyl w pokorze swe czoło w laury spowite
I poznaj swoje grzeszne „curriculum vitae”.
Generalia twe znane, rozum twój „coś waży”,
„Fizys” twoją uwiecznił miesięcznik „Na Straży”
Kilkanaście lat działasz na Grochowa niwie,
Kult Olszynki Grochowskiej w sercu twoim żywie.
Złóż więc tutaj przed sądem z działań sprawozdanie:
Twierdzisz, że Panorama na Grochowie stanie,
Że jest w budżecie miasta na Grochów „mamona”,
Że wkrótce tramwaj pójdzie przez szlak Waszyngtona.
Badasz przeszłość Grochowa i zabytków sprawy,
Z czego stworzyłeś „Grochów — przedmurze War-
[szawy”].
Zakłócasz spokój błogi pośród sennych ludzi,
Gdyż szelest twego pióra cały Grochów budzi
Ze snu obojętności na społeczne sprawy
(Niech sen ten przerwie „Grochów — Przedmurze
[Warszawy”]).
Spełniona zatym wielka grzechów twoich czara,
Spotkać cię za nie musi zasłużona kara,
Nie ulękniem się twoich zradnych łez potoku
I taką obwieścimy sentencję wyroku:
Zważywszy, że twe grzechy w drukowanym słowie,
Nie są jeszcze dość głośne w Wawrze i Grochowie,

Skazujemy cię mocą prawniczych wyników,
Na dwadzieścia tysięcy księgi czytelników.

W roku 1938, w wyborach do Rady Miejskiej, Józef Poliński wysunięty został na kandydata na Radnego. W następstwie wszedł do Rady Miejskiej m. st. Warszawy, na miejsce wice-prezydenta Miasta d-ra Wacława Graba-Łęckiego, który wybrany do Rady Miejskiej utracił swój mandat, ponieważ nie złożył przewidzianego w Ustawie o Ustroju Warszawy oświadczenia, że przyjmuje mandat, a tym samym zrzeka się swego stanowiska w służbie miejskiej, gdzie był urlopowanym wicedyrektorem Wydziału Szpitalnictwa.

* * *

Wspomnienia „Z Walk o Szkołę Polską” stanowią cenny przyczynek do historii „bojów dziecięcych” z przemocą zaborcy, przyczynek tym bardziej cenny, że bezpośrednio przeżyty. Pozwolą one zrozumieć ducha i nastroje, historyczne tło i ukryte pobudki działania młodzieży, w obronie kultury narodowej.

Pod tym względem żadne archiwa nie zastąpią żywej tradycji. Tym więcej, że przechowało się niewiele materiałów archiwalnych, gdyż działacze konspiracyjni, ze zrozumiałych względów starali się wówczas jak najmniej pisać. Nastroje, barwę i ducha tamtych czasów najlepiej zna to pokolenie, które wówczas było młode, a dzisiaj poczyna już schodzić z tego świata. Każdy więc z tych, co świadomie przeżyli okres niewoli i wstrząsającą epokę wojny światowej, powinien pozostawić trwałą opowieść jak się to działo

jakie były przyczyny i pobudki duchowe akcji przeciw warunkom niewoli, które tamowały nasz rozwój kulturalny.

A przecież walka o szkołę polską na terenie zaboru rosyjskiego i jej najsilniejszy moment, strajk szkolny 1905 r., była w ostatnich latach niewoli najsilniejszym może protestem, wymierzonym przeciwko usiłowaniom zaborcy, narzucenia dzieciom polskim rosyjskiej kultury.

O szkołę swoją walczyły już podbite i uciężone narody. Jednakże walkę taką organizowało i prowadziło zawsze starsze pokolenie. U nas tak się złożyło, że do walki wystąpiła sama młodzież, porywając za sobą starszych, nie wszystkich, niestety. Ale nie to było najważniejszym. Istota rzeczy tkwiła w tym, że po długich latach popowstaniowej niemocy, poczęły występować na widownię nowe siły, zdolne do walki o najświętsze prawa ciężonego narodu.

Podnosi swój sztandar polska irredenta. Sztandar buntu i walki podnosi rękami inteligenta, spracowanymi rękami robotnika, rękami młodzieży akademickiej, uczniów szkół średnich, a nawet drobnymi rękami uczniów rządowych szkół ludowych.

Oczywiście strajk szkolny nie był zjawiskiem oderwanym od podłoża akcji społecznej i politycznej starszego pokolenia, lecz przeciwnie, był odcinkiem walki podjętej o wolność narodową i lepszą przyszłość społeczną. W ówczesnych odezwach i żądaniach młodzieży znajdowało się odbicie hasel dwu obozów: „narodowego” i „postępowego”. Sympatie autora niniejszych wspomnień skłaniały się do obozu „postępowego”.

Młodociany entuzjasta wolności i postępu, w chwili, gdy porywał się do czynu, wiązał sprawę szkoły ze sprawą Polski i postępu. Przed roziskrzonymi oczyma ducha przyświecał mu ideał Polski, Polski Mochńackich i Lelewelów, Polski wolności i sprawiedliwości społecznej.



Józef Poliński
w okresie strajku szkolnego 1905 r.

A później, wiele lat pracy w organizacjach niepodległościowych, konspiracyjnych, nieprzerwana walka z przemożnymi warunkami niewoli, aż do czasu, gdy nad polską krainą rozbłysły jasne i błogie promienie Niepodległości — oto poszczególne etapy jego życia.

Od zarania Niepodległości, aż do chwili obecnej, pracuje nieprzerwanie na niwie pracy społecznej.

Rozmłowany w bohaterskiej przeszłości pokoleń walczących o wolność i Niepodległość, pragnie pozostawić trwalszy ślad pracy i walki na skromnym odcinku szkolnym, w nadziei, że — jak sam powiada w zakończeniu jednego ze swoich przekładów:

*Kiedyś... pożółkłe księgi strony,
Gdyby los komu czytać dał,
Może w tym miejscu wzrok strudzony
Zatrzyma, mówiąc: „Rację miał”;
A może głębiej wiersza słowy
Wyryję w duszach waszych ślad,
I jak przydrożny głaz grobowy
Zostawię pamięć dawnych lat.*

(Z Lermontowa)

„Kiedyś... pożółkłe księgi strony, gdyby los komu czytać dał, może w tym miejscu wzrok strudzony zatrzyma” i zwróci myśl w przeszłość, aż do tych przełomowych czasów na granicy niewoli i Niepodległości, o których wówczas będą mówiły pozostawione źródła pisemne i legendy przeszłości. Może odwracając kartki „Z Walk o Szkołę Polską” przedstawi sobie cały ogrom dobrodziejstwa szkoły własnej, polskiej z mowy i ducha, uzmysłowi wartość skarbu Niepodległości, wzbudzi w duszy uczucia, za które pokolenia walczyły, aby znicz miłości Ojczyzny, nieprzerwanie płonący, przekazać swoim następcom w pełni światła i żaru.

Szczęśliwi będziemy, jeżeli książka ta choć w części spełni swoje zadanie.

Redaktor dr MARIAN ALBIŃSKI (Ajaks)

SŁOWO WSTĘPNE.

Czasy szkolne, szkolne czasy! Kto ich nie pamięta, kto nie wspomina? Czasy, gdy dzieciństwo powoli zamienia się w młodość. W normalnych warunkach jest to okres najszczęśliwszy chyba w życiu.

Dla nas dzieci urodzonych w smutnej powojennej epoce niewoli, czasy szkolne były okresem ucisku rasyfikacyjnego. Byliśmy przecież niewolnikami i synami niewolników; „urodzeni w niewoli, okuci w powiciu”, z uczuciem niezawinionej krzywdy spożywalimy gorzki chleb nauczania w rządowej szkole rosyjskiej. Stan taki trwał do 1905 roku, kiedy to młodzież i dzieci porzuciły szkołę rosyjską, żądając wolnej szkoły polskiej.

Od tych czasów upłynęło lat wiele, odszedł w niepowrotną przeszłość okres niewoli, i zdarzenia, które przeminęły, stały się własnością narodu. Myśl narodowa wychodzi na dawne pobojuwiska i skrzętnie zbiera pamiątki, aby w inwentarzu narodowym przechować ślady dorobku materialnego i moralnego. Tak też stało się ze zdarzeniami, których skromny fragment opisać zamierzam.



W roku 1930, po upływie ćwierćwiecza, odbył się w Warszawie, pod przewodnictwem Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Sławomira Czerwińskiego, wielki zjazd uczestników walki o szkołę polską i posypały się wiązanki wspomnień. Wśród wspomnień tych, rozrzuconych w wielu broszurkach, artykułach prasowych i wydawnictwach pamiątkowych, nie spotyka się opisów owych bojów dziecięcych, na odcinku szkoły ludowej.

Szkoły ludowe, utrzymywane całkowicie przez rząd zaborczy, były wówczas w powszechnej pogardzie. Posyłali tam dzieci tylko niezamożni rodzice, których nie stać było na opłatę wpisów w szkole średniej. Były to szkoły jednoklasowe (trzyoddziałowe), a w nielicznych wyjątkach dwuklasowe (pięciooddziałowe). Na trzech oddziałach takiej szkółki kończyła się zwykle edukacja sztabaka. Dalszym ciągiem wykształcenia były fabryki i warsztaty. Pióra zamieniano na młoty i kielnie.

Dlatego wśród opublikowanych wspomnień nie spotyka się opisów, dotyczących wybuchu i przebiegu strajku na terenie szkół ludowych. Nie zdarzało się bowiem, gdyż trudno bardzo zdarzyć się mogło, by ręka przywykła do młota i kielni chwyciła za pióro. Jedynie wśród kilkudziesięciu dokumentów opublikowanych przez D-ra Adama Próchnika (*Walka o Szkołę Polską — wydawnictwo Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Średnich — rok 1930*) znajduje się kilkanaście raportów, pochodzących z archiwów rosyjskich urzędów,

o wybuchu strajku w poszczególnych szkołach ludowych. Są to dokumenty pochodzące od władz zaborczych, a więc jak gdyby z drugiej strony barykady. Nie odzwierciedlają one ducha, pobudek i warunków, w jakich nastąpiła walka dzieci z przemocą zaborcy. Pobudki te znają ci, którzy wówczas byli uczniami szkół ludowych i pożądanym jest, aby i oni rzucili wiązanki wspomnień z owych dni „górných i chmurných”.

I ten odcinek walki nie był bez znaczenia. Ówczesne wystąpienie dzieci znalazło szeroki oddźwięk nie tylko wśród starszego pokolenia Polaków, ale i poza granicami kraju. Utalentowany powieściopisarz i publicysta Wiesław Sclavus (Wacław Gąsiorowski) dając wyraz nastrojom starszego pokolenia, które poparło walkę młodzieży z zaborcą pisał:

„Młodzieży pnącej się do wywierania wpływu na politykę przybyła z sukursem sztuba, i sztuba nie żadna wyższa lecz początkowa, gryząca orzechy czterech działań arytmetycznych. Sztuba ta strajkuje, stawia warunki. Sztuba ta staje się potęgą. Drży przed nią nie tylko przewodnik partii lecz i nauczyciel Polak, sztuba bowiem sądzi go, krytykuje, a dopiero dalej słucha. Przed sztubą drży rząd, o sztubie tej zagadał cały świat, jak gdyby pieśń legionów zagroziła potędze zaborców”.

I w istocie, bezprzykładna chyba walka, walka dzieci wystawionych na ataki przemocy, odbiła się głośnym echem w świecie, stając się przyczyną wielu wystąpień publicystycznych, listów

otwartych i t. p., wywołujących duże wrażenie wśród wolnych narodów, którym obca była przemoc wy-naradawiania.

Dając wyraz opinii świata cywilizowanego, wspomniany wyżej autor pisał:

„Ówczesne wystąpienia dzieci zrobiły podobno dla imienia polskiego w świecie więcej, niż całe czterdziestolecie pozytywistycznego samopodawania pleców na baty”.

Dzisiaj epizod owych bojów dziecięcych zatarł się już w pamięci żyjących. Jednakże należałoby go wydobyć z pyłu zapomnienia, aby dorzucić trochę światła na te pamiętne, nabrzmiałe atmosferą buntu i energią czynu czasy, czasy „kiedy zapał tworzył cudy, nowości potrzasał kwiatem i oblekał nadzieję w złote malowidła”.

Powodując się tymi względami, pragnę także złożyć skromny wieniec, uwity z suchych liści wspomnień z owych dalekich dni.

Autor.

ROZDZIAŁ I.

Przedrewolucyjne nastroje.

Najwcześniejsze lata. — Represje i areszty w ochronie. — Źródłem tych nastrojów — powstanie 1863 r. i głosy z podziemnych kuźnic Nowej Polski. — Samorzutne zabawy dziecięce — nauką spisku i konspiracji. — Manifestacja na grobie Pięciu Poległych. — Oko w oko z policją. — Rewirowy — symbolem carskiej Rosji.

Gdy przywołuję na pamięć lata mojego wczesnego dzieciństwa, to niewiele odnajduję wspomnień związanych ze sprawą nauczania. Najwcześniej z mroków tej dalekiej przeszłości wyłania się niewielka salka, mieszcząca ochronę (przedszkole). Do tej ochrony codziennie w godzinach rannych odprowadzała mnie matka, przed udaniem się do swoich zajęć. W ochronce udzielano tajnie nauki czytania. W tych czasach nauczanie (poza szkołą rządową) podlegało represjom i prześladowaniu. Jak przez mgłę wyłania się z mojej pamięci scena rewizji policyjnej w tej ochronie. W czasie rewizji znaleziono ukryte w palenisku pieca... o zgrozo!

— elementarze. Nastąpiły jakieś represje i aresztowania.

Wyraźniej już we wspomnieniach rysuje się postać nowej ochroniarce „pani Heleny”, która była już ostrożniejszą od swojej poprzedniczki. Udzielała nam także „zakazanych lekcji” czytania i pisanie, ale już w prywatnym swoim mieszkaniu. Lekcje odbywały się poza godzinami zajęć w ochronce. Elementarze i kajety przynosił ukryte „za pazuchą”. W szczupłym pokoiku „pani Heleny”, w braku krzeseł i ławek, siadywaliśmy na podłodze i z tej doliny wiedzy słuchaliśmy wykładów nauczycielki, oczekując na swoją kolej wydawania lekcji.

Tak płynęły bez większych wrażeń miesiące i lata, aż do czasu, gdy oddano mnie do początkowej szkoły rządowej. Były to lata poprzedzające wybuch rewolucji 1905 roku, kiedy wszyscy od starców do dzieci oddychali atmosferą nabrzmiałą buntem. Nastrojom tym ulegały i dzieci.

Uczuć tych nie sposób zrozumieć bez wniknięcia w ówczesną przedrewolucyjną atmosferę, gdy pierwsze, zaledwie uświadomione uczucia dzieci już były opozycyjne w stosunku do władz zaborczych.

Zachodzi pytanie, skąd my dzieciaki swawolnie czerpaliśmy te uczucia? Przede wszystkim z ogólnych nastrojów. Starsze pokolenie żyło jeszcze w atmosferze i pod wrażeniem powstania 1863 r. W tych czasach żyło jeszcze i znajdowało się w sile wieku, wielu uczestników powstania stycz-

niowego, mówiących o konieczności nowych ofiar. Opowiadania o zdarzeniach i walkach powstańczych rozpały dziecięcą wyobraźnię.

Dla mnie źródłem uczuć buntu przeciw zaborcy były „zabronione” pieśni powstańcze, śpiewane przez matkę moją (Marię z Jankowskich Polińską), której pamięć była niewyczerpanym źródłem pieśni patriotycznych, zwłaszcza pieśni ludowych z czasów powstania 1863 r. Dziś jeszcze brzmiały mi w uszach ustępy pieśni, które pozostawiły głębszy ślad w duszy dziecięcej. Są to strofy o zesłańcu, którego „kibitka” uwozi w mroźne strony Sybiru, gdzie w podziemiach kopalni, przykuty łańcuchami do tacek, do końca życia pędzić będzie okropny żywot niewolnika. Zesłaniec



Maria z Jankowskich Polińska

.....
Wyrzał z kibitki, potrząsnął głową,
Nie dbał, że wzbudzi w żandarmach gniew,
Oczy odwrócił w stronę rodową
I taki smutny zanucił śpiew.

Już ja nie ujrzę ojczyzny mojej,
Ni ojca mego, ni matki mej,...

W dalszym ciągu więzień opowiada, za jaką „zbrodnię” został skazany na tak ciężką karę:

Żem chciał ojczyźnie mej ukochanej
Przywrócić wolność i prawa,
Żem chciał Polakom skruszyć kajdany,
Oto mych czynów jest sprawa.

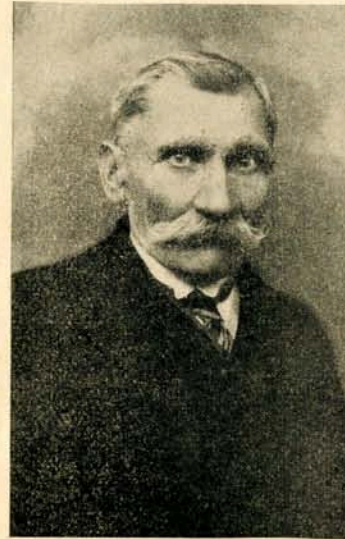
A później z ust zesłańca płyną wyrazy buntu:

Łotry me dłonie skuli w kajdany,
Lecz wolnej duszy nie śmieją skuć;
Zdejmcież kajdany, dajcież mi broń,
Ja was nauczę jak wolność czuć.

Pieśni te uzupełniane omówieniami matki rozpały dziecięcą wyobraźnię. Reszty dopełniały opowiadania mojego ojca (Ignacego Polińskiego), o wypadkach powstańczych. W jego pamięci falowały całe roje wspomnień z okresu powstania i czasów powstaniowych: manifestacje na Krakowskim Przedmieściu, masakra przy kościele Ś-ego Krzyża, huk wystrzałów, pierwszych pięciu poległych... a po tym partie zesłańców na Sybir... skośnoocy kozacy z nieodłącznymi „nahajkami” (batogi rzemieńne, zakończone kawałkami ołowiu), wspomnienia okropne i złe. Czasy powstaniowe przedstawiały mu się jako jedna, długa, czarna niewolnicza noc, bez przeblysku radości. Na czarnym tle nocy błyszczała jednak świetlana gwiazda

wiary w nadejście „polskich czasów”. Tak zwykł był nazywać Niepodległość. To też nosił w duszy wielkie, nienasycone pragnienie, aby doczekać „polskich czasów”, które przedstawiały mu się jako coś wielkiego, nieobjętego, cudownego.

I nadchodziły czasy... z podziemnych kuźnic lepszego jutra poczęły dochodzić odgłosy nowych spisków i nowych konspiracji. Z tajnych drukarni wypływały wciąż nowe pisma i odezwy — chleb prawdy, którego nigdy nie wystarczało dla wszystkich łaknących. Wszyscy zapewne z ówczesnego pokolenia pamiętamy te kartki odezw, drukowanych w tajnych drukarniach. Drukarnie te tropione przez szpiclów carskich, wydawały się nam uczniakom, jak gdyby zaczarowanymi fortecami z bajki. Wychodzące stąd numery „Robotnika”, „Polaka” czy „Przedświt” przechodziły pomięte z rąk do rąk, aż do zupełnego zniszczenia, tak, że już nic z nich odczytać nie było można.



Ignacy Poliński

Jakże głęboka nić sympatii łączyła nas sztubaków swawolnych z „ludźmi podziemnymi”, jak gdyby w przeczuciu, że wśród nich znajduje się ten, w którym miał się umiejscowić symbol walki naszego pokolenia o Niepodległość — Józef Piłsudski, przez którego w niedługim czasie znów pełnym blaskiem zajaśniał wiekopomny czyn. „Ludzi podziemnych” bez względu na odcienia polityczne ceniliśmy i szanowali, chociaż nie wiedzieliśmy, że pośród tych synów wielkiego rodu bojowników polskich o wolność, był ten, który w niedługim czasie, walkę podziemną na jawną zamienił i poprowadził nowopowstałą armię polską do nowych, pełnych chwały zwycięstw.

Reszty, dla pobudzenia uczuć patriotycznej egzaltacji dopełniła cudowna książka „Trylogia” Sienkiewicza, która sprawiła, że „polskie czasy” przedstawiały się nam jako coś wielkiego, potężnego, pięknego i szczęśliwego, tak, że mój mały umysł nie mógł już pojąć tego piękna i wielkości. Stąd oto wypływały pobudki, które do żywszego bicia pobudzały serca.

Takie były źródła, z których czerpaliśmy ten dziwny nastrój wyczekiwania na coś, co przeczuwaliśmy i co nadejść miało. Stąd czerpaliśmy ducha opozycji do rządów carskich.

Uczucia te odbijały się nawet na obyczajach dzieci i wyrażały się w swawolnych zabawach dziecięcych. Na każdym niemal kroku spotykało się dzieci, bawiące się w „spiski i konspiracje”. Do ulubionych zabaw należały „bitwy Polaków z

Moskalami”, „walki z kozakami” i t.p. Kilkuletni „policjanci” napadali na rówieśnych „rewolucjonistów”, z okrzykami „ręce do góry”, a po tym... „areszty”, „więzienia”, „wygnania”. Patrząc na te igraszki dzieci, możnaby sądzić, że w samorzutnej zabawie dziecięcej uczono się spisku i konspiracji.

Zabawy dzieci starszych różniły się także od zabaw współczesnego pokolenia dzieci. Trudnoby nieraz było określić granicę, gdzie kończyły się pełne chłopięcej pustoty zabawy, a zaczynały prawdziwe antyrządowe manifestacje. Zbiorowe wycieczki zamiejskie, a nawet powroty ze szkół, odbywały się często ze śpiewem pieśni patriotycznych.

Pomysłów do zabaw manifestacyjnych nie brakło nigdy. Między innymi, wpadłem na pomysł urządzania zbiorowych wycieczek uczniowskich na cmentarz Powązkowski, dla zamanifestowania czci dla „Pięciu Poległych” (pięciu poległych podczas pierwszych manifestacyj powstania 1863 r.). Grób ten, otoczony powszechną czcią, znajdował się wówczas w przymusowym zaniedbaniu. W pierwszych latach po powstaniu do pięciu mógł „na Powązkach” urządzać pielgrzymki. Władzom carskim wydało się to niebezpiecznym, więc mogiły zniszczono, a teren wylano asfaltem. Za moich lat dziecięcych, grób ten był to prosty, kwadratowy kawałek ziemi, z której miejscami wzyrał popękany asfalt. Z zasypanych śmieciem i pyłem dziur tego asfaltu pięły się wzwyż, ku słońcu, słabe i nędzne listki suchotniczej trawy, jak gdyby błagając o ratunek przeciw zaniedbaniu tego, otoczonego

zcia miejsca. Władze zaborcze nie pozwalały na postawienie na grobie Pięciu Poległych najskromniejszego chociażby krzyżyka. W dni święta zmarłych, grobu tego strzegła policja mundurowa i tajna, zwracając baczną uwagę, by nie zatrzymywano się przy grobie i nie składano wianków, lub jakichkolwiek znaków pamięci.

Jakże wyraźnie rysuje się w moich wspomnieniach jedna z takich manifestacyjnych wycieczek sztubackich „na Powązki”, która miała się niestety, dość boleśnie dla mnie zakończyć.

Był szary, smutny dzień jesienny 1904 roku, gdy zebrała się wielka gromada uczniów z różnych szkół. Wyruszyliśmy na cmentarz dwójkami jak „na molebien” w dniu przymusowych modłów za cara. Przy murze cmentarnym nabyliśmy dużą ilość wianków, z którymi udaliśmy się na „zakazany grób”. Cmentarz tonął w powodzi świateł świec i różnokolorowych lampek. Płonęły drżące światła na grobie poległego pod Raszynem poety-żołnierza Cypriana Godebskiego, który „pokazał światu przez chwalebne blizny, co może miłość chwały i ojczyzny”, płonęły na grobie, będącym według wersji miejscem wiecznego spoczynku bohatera insurekcji Kościuszkowskiej Jana Kilińskiego i na wielu, wielu innych grobach, otoczonych czułą pamięcią potomnych. Najbardziej zaniedbane mogiły świeciły w tym dniu smętnymi płomykami świec, a jedynie na mogile Pięciu Poległych nie płonęła ani jedna świeczka i nie było najskromniejszego chociażby wianka.

Udaliśmy się w stronę „zakazanej mogiły”. Przechodząc z ładunkiem nabytych przy murze cmentarnym wianków, koło grobu Pięciu Poległych manifestacyjnie odkrywaliśmy głowy i wówczas prężyły się dumą nasze piersi sztubackie od przyjaznych uśmiechów publiczności, która przechodziła tłumnie, nie ważąc się zatrzymywać przy zakazanej mogile.

Nadchodził zmrok, zbliżała się chwila działania, kusząca niebezpieczeństwem dusze małych manifestantów. Niewidzialnym dla oka policji pierścieniem otaczaliśmy „zakazaną mogiłę”. I niejednemu z nas z emocji, jaką dawała ta niezwykła chwila, kołatało pod bluzą sztubackie serce, ale nie zwierzał się z tym, by nie być posądzonym o bojaźliwość, gdyż wstydem było największym „mieć boja”. Jeszcze chwila... i oto na umówiony znak rzucamy wszyscy w górę, ponad głowy strzegącej grobu policji, nasze świerkowe pociski. Rzucone jednocześnie, wprawnymi rękami, wianki, jak gdyby stado dziwnych nocnych ptaków z cichym szelestem zlatywały ze wszystkich stron, na niebezpieczny dla „rosyjskiego kolosa” grób.

Taki był hołd dzieci Warszawy, poległym za Ojczyznę.

Policjanci klnąc i złorzecząc rozbiegli się w poszukiwaniu sprawców tej cichej manifestacji, co wywołało zamieszanie i ułatwiło nam „widać, gdzie pieprz rośnie”. „Wiał” każdy w inną stronę, aby się stawić na umówione miejsce zbiórki. Nie-

k którzy tylko, pragnąc się przekonać o celności swoich świerkowych pocisków, wracali jeszcze na miejsce „przestępstwa”. Policja usuwała wianki z grobu, jednakże zamierzony cel nasz był osiągnięty. Manifestacja udała się.

Z miejsca zbiórki wracaliśmy dwójkami, zadowoleni i roześmiani. Każdy z nas doznał przecież wiele emocji i pragnął się podzielić wrażeniami. Rozpolitykowanie ówczesnych czasów niepowstrzymaną siłą pchało nas ku dziełom światoburczym. Przejęci dogłębnie ideałami tej rewolucyjnej epoki, umieliśmy piętnować i wieńczyć. Umieliśmy wołać dziecięcymi głosy: „Precz z caratem” i „niech żyje wolna Polska!” Powodzenie upajało nas, więc manifestowaliśmy nie szczędząc okrzyków, witani przyjaźnie przez przechodniów. Nie przeczuliśmy złego, gdyż nie spostrzeżliśmy, że nas śledzono. Prawdopodobnie złożono telefoniczny meldunek o manifestacji i zażądano pomocy przeciw „niebezpiecznym buntownikom”.

Pomoc nadchodziła, oddział policji szybkim krokiem zmierzał w naszym kierunku. Śpiew i okrzyki uciszyły się i pochód nasz począł się cofać, w nieświetnym zresztą porządku. Nie sądziłem, by dorośli policjanci mogli zaatakować dzieci i wydało mi się nierozsądnym, gdy idący obok mnie „Jaros” (Czesław Jarosiński), swoim zwyczajem „dał nura”. Niestety, miałem się niebawem przekonać, jak mylnym było moje rozumowanie. Nie zatrzymując się szedłem spokojnie z zamiarem wyminięcia policji, gdy naraz, idący na czele policyj-

nego oddziału „rewirowy” (przodownik policji) obnażywszy szablę, rzucił się na mnie. Sądziłem, że nadchodzi ostatnia chwila mego życia i przestraszyłem się bardzo. Spojrzałem jeszcze w skośne oczy i wykrzywione wściekłością usta tego przedstawiciela zaborczej władzy i zawróciłem, chcąc się ratować ucieczką, ale było już zapóźno. W tym momencie uczulem ogłuszające uderzenie w tył głowy, od którego straciłem przytomność. Nie wiedziałem już co się później działo.

Gdy oprzytomniałem, znajdowałem się w mieszkaniu państwa Jarosińskich, rodziców wyżej wspomnianego kolegi. Czułem piekący ból rany w głowie, którą opatrywał lekarz. Wypadek ten uwieńczył mnie sławą bohatera, co cierpiał już za Polskę.

Gdy po parodniowej przerwie znalazłem się znów w szkole, koledzy spoglądali na mnie z szacunkiem, ale nie bez odcienia pewnej dozy zazdrości. Nawet nasz nauczyciel pan Malanowski, który przestrzegał nas przed niebezpieczeństwem urządzania tego rodzaju manifestacji, zdradzał uznanie dla mojego czynu, co napawało dumą moje piersi sztubackie.

Wspomnienie tej manifestacji pozostać miało w mojej pamięci na długie lata. Dziś jeszcze, gdy znacząca mi głowę blizna odwraca czasem myśl ku tej odległej przeszłości i w wyobraźni rysuje czasy niewoli, to jako symbol władzy zaborczej w Polsce, staje przede mną jak żywa, straszna

postać kosoookiego „rewirowego” z wzniesioną szablą i zachrypniętym przekleństwem na dziko wykrzywionych ustach.

ROZDZIAŁ II.

Pierwsza miłość... książki.

Czytelnie bezpłatne W.T.D. — „Madejowe łoże”. — Budziciel myśli i ducha — Bolesław Prus. — Nowe myśli i nowe uczucia. — Pęd do czytelnictwa i samokształcenia. — „Kółka literackie”. — Pierwsza przyjaźń. — Księgarnia—dostawcą „zabronionych dzieł”. — „Dziadów” część III. — Zebranie „Kółka”. — Polityczna egzaltacja.

W czasach mojego dzieciństwa istniały w Warszawie czytelnie bezpłatne Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności (W. T. D.). Spełniać one mogły swoją chwalebłą misję oświatową tylko dzięki temu, że chroniły je przed zamknięciem pozory lojalności W.T.D.. Dzięki ofiarności społecznej, czytelnie te rozrastały się, osiągając liczbę dwudziestu kilku. Zapełniły się one dziesiątkami tysięcy tomów doborowej beletrystyki polskiej i popularnej literatury z różnych dziedzin nauki. Szerokie rzesze ludności znalazły tam jedyne może, ale dlatego tym cenniejsze źródło pokarmu duchowego.

Czytelnie te mieściły się w szczupłych, a często ciemnych i wilgotnych lokalach „ochronek” (przedszkoli) i t. p.. Jedna z takich czytelni znalazła pomieszczenie przy ul. Dzielnej Nr 67, w małej salce jadalnej przytułku dla niezamożnych chorych wychodzących ze szpitali. Tu właśnie nastąpiło moje zapoznanie i pierwsza miłość... książki. Pierwszą znajomą było „Madejowe Łoże” Walego Przyborowskiego. Pamiętam jak mi mocno kołatało małe i biedne serce, gdy z twarzą zarumienioną z emocji czytałem, jak to stara czarownica, Madejowa matka mówiła do Staśka: „Chciałbym gdzie schowała cię, bo mi jest żal twych młodych lat, to na nic się nie przyda. Jak tylko Madej wejdzie, to jeno nosem pociągnie, zaraz ludzkie mięso poczuje. Każę napalić dREW w wielkim piecu, tym oto, co tam w kącie stoi, świtkę z ciebie zedrze i żywcem upiecze.

Staśka mrowie przeszło i biedny zawołał:

— A moiście wy złoci, a schowajcież mnie gdzie.

— A gdzież ja cię schowam? Madej cię zaraz poczuje.

Ledwie wyrzekła te słowa, zerwała się na równe nogi i przysłuchując się przez jakiś czas pilnie, rzekła:

— Madej idzie”.

Dusza trwożna uciekła ze mnie — drżałem.

Od tej chwili, książka stała się jak gdyby jedyną, zająć mnie mogącą rzeczywistością. Czytałem, a raczej pochłaniałem wszystko: „Serce”

Amicisa, Juliusza Werne-a, Mayn Reid-a i Teresy Jadwigi „powieści dla dorastających panienek”.

Były to czasy dalekiego dzieciństwa, nie obciążonego jeszcze ciężarem myśli. Po tym dopiero zjawiała się myśl, początkowo niezdarna i krucha, którą kształcił słowem pisanym wielki człowiek, wielki talentem i znajomością duszy ludzkiej, wielki dobrocią dla wszystkiego co żyje i cierpi — Bolesław Prus.

Serdeczna dobroć tego wielkiego pisarza, którą z wielkim talentem przenosił ze swego serca na papier, wyciskała mi nieraz z oczu łzy rozrzewnienia. Nie czuję się na siłach opisać, jakie uczucia miotają moją duszą sztubacką, gdy czytałem wówczas „Anielkę”, „Emancypantki”, „Grzechy dzieciństwa”, „Wigilię” i „Katarynkę”.

W tym czasie zapisałem się na pozaszkolny „komplet oświatowy”. Pewnego dnia nauczycielka tego „kompletu” p. Sikorska, wręczając mi bilet wejścia do sali odczytowej Muzeum Przemysłu

i Rolnictwa na Krakowskim Przedmieściu, rzekła.

— Idź tam, zobaczysz wielkiego człowieka, Bolesława Prusa. Zapamiętaj co mówić będzie.



Nina Jurkowska

Oczywiście poszedłem. Bolesław Prus wygłosił odczyt „O szczęściu”, który pozostawił mi niezatarte wspomnienie. Każde słowo płynące z ust znakomitego pisarza, zdawało się być ogrzane promieniami miłości dla ludzi. Przemówienie to cechowała głębia rozumu i współczucie dla ludzkiej niedoli.

Dziś jeszcze, gdy przywołuję pamięcią owe chwile dalekie, to staje przede mną jak żywa skromna postać Prusa, wygłaszającego z trybuny przemówienie, pełne chwytającej za serce prostoty.

Biegły czasy. Powoli wychodziłem z okresu wczesnego dzieciństwa. Na czołe pojawiły się myśli, a w sercu — nowe uczucia, słabe i wątpliwe początkowo. Chuchali na nie i rozbudzali do bujnego życia nowi ludzie, ludzie, którzy zjawili się z podziemnych kuźnic lepszego jutra. Myśli żyły i rozwijały się. Nadchodziły czasy przełomowe. Z przedrewolucyjnych podmuchów rodził się klimat wielkiego pędu ku wiedzy i doskonaleniu charakterów. W imię idei, że tego wymaga od nas Polska, że o jej przyszłość i szczęście my walczyć będziemy. Zainteresowania nasze przetrwały znacznie ramy wiadomości zdobywanych w szkole. Czytywaliśmy wiele: „Trylogię” Sienkiewicza, „Historię Rewolucji Francuskiej” i „Poradnik dla samouków”, który na niebie mojej młodości był tą gwiazdą przewodnią na drodze samokształcenia, wiodącej w cudną krainę wiedzy.

W tych czasach zapoznałem się na „Kole” samokształceniowym, z przedwcześnie zmarłym Witalisem Jurkowskim, i z siostrą jego Niną. Byli to ludzie jedni z najpiękniejszych duchem, w naszym środowisku młodzieży.

Wynieśli oni z domu rodzicielskiego dużą kulturę duchową. Wrażliwi na wszystko co szlachetne, dobrzy, subtelni i bezinteresowni, czuli zawsze potrzebę wyrażania swojej przyjaźni czynem. Jednocześnie niezależni i dumni tą szlachetną dumą, która jest wyrazem dużej wartości wewnętrznej. Dumny byłem ze swoich nowych przyjaciół. Wspólne długie rozmowy, „czytanki”, „Róży”



Witalis Jurkowski

Katerli (Stefana Żeromskiego) i innych utworów, należą do moich wspomnień najmiłszych. Dały mi one wiele wzruszeń szlachetnych i pobudzały ducha buntu przeciw warunkom niewoli.

* * *

W okresie, mojego dzieciństwa na niewinne czytelnie, będące wówczas jedynym legalnym źródłem poczyznań oświatowych społeczeństwa pol-

skiego, zwały się represje, rewizje i prześladowania. I chociaż w czytelnich nie znaleziono nic „niecenzuralnego”, aresztowano wielu działaczy czytelnianych. Po tym poddano czytelnie mocniejszej jeszcze kontroli władz policyjnych i administracyjnych, zarówno pod względem doboru książek, jak również i pod względem obsługującego personelu. W tych warunkach książka zabroniona przez rosyjską cenzurę była w czytelnicy nie do pomyslenia. A przecież my, sztubaki lekkomyślne takiej właśnie książki pożądalibyśmy przede wszystkim, jak gdyby była ona marzeniem świata całego.

Ale i na tym polu szczęście mi dopisało. Poznalem w czytelnicy pewnego „czytaka” Janka Ulanowicza, ucznia tajnej szkoły. Był on o rok młodszy odemnie, ale przewyższał mnie znacznie znajomością historii i literatury. Posiadał odczytanie w zakresie nieprawdopodobnie dużym w stosunku do swego wieku.

Czytał dużo i dużo umiał. Pod jego wpływem zrodził się w duszy mojej zapał do literatury i dziejów ojczystych, a zwłaszcza do porzbiorowych dziejów Polski. Marzyliśmy wówczas o wolnej Polsce i o uszczęśliwieniu całej ludzkości, aby nie było biednych i nieszczęśliwych. Wywalczyć szczęście dla wszystkich, wydawało się nam niezmiernie łatwym, gdy tylko dorostniemy.

Dziś trudno byłoby mi odpowiedzieć na pytanie, czy te marzenia dziecięce śmieszne były, czy głupie?...

Wiem tylko, że pozostały niedoścignione...

Od pierwszej chwili zapoznania, zawiązały się między nami stosunki pełne zaufania. Była to pierwsza przyjaźń szczęśliwa.

W towarzystwie innych chłopców czuliśmy się jak gdyby skrupowani, ale gdy tylko znaleźliśmy się sami, siadywaliśmy gdziekolwiek i zapominając o całym świecie, zwierzałyśmy się sobie ze wszystkim. I dziwna rzecz, nie spostrzegaliśmy wówczas, jak szybko czas leciał.

Raz, w czasie takiej przyjacielskiej gawędy zwierzył mi się, że w księgarni G. Centerszwera przy ul. Marszałkowskiej Nr 143, zachowując ostrożność, można nabywać „zabronione książki”. Z wielkim nakładem energii zacząłem zbierać na ten cel pieniądze. Dziś jeszcze, gdy wspominam jak wielki skarb w postaci marek — których byłem namiętnym zbieraczem — musiałem sprzedać, ile razy odmówiłem sobie śniadania, aby przeznaczone na ten cel pieniądze „składać” na kupno „zakazanych książek”, to nie mogę o tym myśleć bez wzruszenia.

Pamiętam jak mocno biło moje dwunastoletnie serce, gdy poraz pierwszy przestąpiłem progi tej księgarni, w „przestępczym” zamiarze nabycia „zabronionej książki”. Wśród kupujących znajdował się wówczas oficer armii rosyjskiej, co zwiększało jeszcze moje obawy, by „nie wsypać” księgarni. Zapytany czego sobie życzę, rozejrzałem się na wszystkie strony w obawie, aby ktoś nie podsłuchał i powiedziałem cicho, jaknajciszej:

— Proszę pana o trzecią część „Dziadów”.

Trzecia część „Dziadów” Mickiewicza była „srożajsze zapreszczena” (najsurowiej wzbroniona) przez rosyjską cenzurę, więc z bijącym sercem oczekiwałem na następstwa mojego kroku. Wyobraźnia wyolbrzymiała niebezpieczeństwo. Przed oczyma przesunęła się wizja możliwej „wsypy”, arestów, prześladowań, która jednak nie była w stanie przygłuszyć emocjonującej pokusy posiadania „zakazanej książki”.

Księgarz spojrział na mnie uważnie i dostrzegł pewnie na mojej twarzy gorączkę pożądania, gdyż uśmiechnął się przyjaźnie. Zwrócił wzrok w stronę oficera, po czym oddalił się do pomieszczenia za sklepem, skąd wrócił po chwili, niosąc w ręku małą, żółtą książeczkę. Było to wydawnictwo „Biblioteki Powszechnej” księgarni Cuckerkandla w Złoczowie.

Na widok książki, serce zabiło mi mocniej. Sądzę, że spojrzenie, jakie rzuciłem na książkę musiało być podobne do pałającego pożądaniem wzroku tygrysa, gdyż księgarz znów uśmiechnął się porozumiewawczo. Otrzymawszy upragnioną książkę, rzekłem wzruszony:

— Dziękuję bardzo.

— Niechaj ci będzie na zdrowie... i twoim kolegom — odpowiedział miły księgarz.

Zapłaciwszy, drżąc ze wzruszenia, ale uszczęśliwiony zarazem, odniosłem małą tę książeczkę do domu, jak skarb największy.

Książkę tę czytywaliśmy na „Kole”, z zapartym tchem. Książka ta rozpaliała wyobraźnię i przynaglała serca nasze małe do żywszego bicia. Była to przecież jedna z tych książek, o których prowadzono „długie nocne rodaków rozmowy”. Była tym tchem ożywczym, co iskry tlejące pod popiołem w ogień zamieniał. To też czytywaliśmy ją z żarem w piersiach i ogniem w oczach, od którego dziw, że książka nie spłonęła. Dziś jeszcze brzmi mi w uszach głos czytającego, gdy z patosem recytował straszną scenę wywożenia na Sybir, w dwudziestu kibitkach, młodych uczniów, dzieciaków jeszcze:

Widziałem ich... za każdym z bagnietem szły warty...

Mali chłopcy!... Najmłodszy z dziesięć lat nieboże,

Skarzył się, że łańcucha podźwignąć nie może

I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.

Policmajster przejeżdża, pyta czego żądał.

Policmajster człek ludzki. sam łańcuch oglądał,

Dziesięć funtów. zgadza się z przepisaną wagą.

O jakże współczuliśmy tym małym więźniom, ale zarazem jakże zazdrościliśmy im, oczekując z utęsknieniem chwili, gdy tak jak oni będziemy mogli cierpieć za wolność Ojczyzny. Straszne te sceny, opisywane przez wieszczą — jak sam powiedział w przedmowie: — „Nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając”, przejmowały nas zgrozą. Natężenie uczuć wzrastało coraz bardziej, gdy czytający akcentując i przeciągając niektóre zgłoski zbliżał się do punktu opowiadania, gdy ostatni

z młodocianych męczenników ledwie postąpił kilka kroków, upadł zemdłony na ziemię.

To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie,
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Ze mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz podszedł i podniósł z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na rękę, ale ręką drugą
Tajemnie łyzy ocierał...

.....
Wywiedli Janczewskiego — poznałem, oszpetniał,
Zczerniał, schudł, ale jako dziwnie wyszlachetniał,
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś spoglądał z kibitki jak z odludnej skały
Ów cesarz ...

.....
Uważałem na więźnia postawę i ruchy,
On spostrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch na znak, że mu niezbyt ciężyło.
A wtem zacięto konia... kibitka runęła,
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Dwunastoletnie serca nasze coraz mocniej były współczującym wzruszeniem dla młodocianych więźniów i oburzeniem na „cara północy”, co „zmarzczył brwi i tysiące kibitek wnet leci, podpisał — tysiąc matek oplakuje dzieci; skinał — padają knuty...” Głos czytającego coraz mocniej tchnął patosem, aż nakoniec wybuchął potężnym: „Jeszcze Polska nie zginę-ę-ęła!” Przy przyśpieszonym tętnie serca przyrzekałem wówczas słowami wieszczki, że opisywane sceny cierpień, dumy i buntu przeciw carskiej przemocy,

Zostaną w mej myśli — i w drodze żywota,
Jak kompas pokażą mi, powiodą gdzie cnota,
Jeśli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie
zapomnij o mnie...

I niejednemu z nas pokazała się wówczas łaźnia w oku, a natężenie uczuć buntu urastało do granic patriotycznej egzaltacji. Sądzę, że do wywołania tych uczuć przyczyniało się i to także, że czytane utwory były „zakazane”. Może nie wywoływałyby takiego wrzenia uczuć, gdyby były legalne jak na przykład utwory Puszkina, Lermontowa lub innych pisarzy. Nie jest to istotnym. Najważniejszym natomiast było to, że w takich warunkach akcja władz zaborczych, w dążeniu do rusyfikacji zamieniająca szkołę w narzędzie wy-naradawiania, kreśląca bezlitośnie dzieła najwybitniejszych pisarzy i twórców narodowych, przekreślająca nawet wielkiego wieszczki Mickiewicza, wywoływała wprost przeciwny skutek. Wbrew zamierzeniom rusyfikatorów budziła ona ducha nienawiści do wszystkiego co było rosyjskim — rządowym i carskim.

I coraz bardziej dojrzewały w duszach naszych kwiaty buntu, protestu i walki z przemocą zaborców.

ROZDZIAŁ III.

Rusyfikacyjna szkoła — tortura.

Tablica z dwugłowym orłem. — Podwórze i lokal szkolny. — Wysilki zaborców, zmierzające do wynarodowienia Polaków. — Matki Polki, nad kołyskami niemowląt śpiewać będą kołysanki rosyjskie. — Usiłowano zniweczyć pamięć o życiu i czynach Kościuszki. — Przymusowe modły za cara. — Milcząca manifestacja.

Gdy wracam myślą wstecz i wywołuję obrazy minionej przeszłości, to jaśniej niż inne wspomnienia, rysuje się w mojej pamięci dom przy ul. Dzielnej, oznaczony Nr. 33. Tu mieściła się początkowa szkoła rządowa, w której po opuszczeniu ochrony spędzałem pierwsze lata edukacji. Nad bramą tego domu umieszczono tablicę z dwugłowym orłem, pod którym widniał napis: „Odnoklasnoje Warszawskoje Kazionnoje Ucziliszcze”.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że dom z rzucającą się w oczy tablicą, był budynkiem szkolnym. Nie było wówczas w Warszawie ani jednego budynku dla szkół początkowych. Mieś-

cily się one w prywatnych domach, w lokalach zupełnie do potrzeb szkoły nie przystosowanych. Domy te, lokale i podwórza urągały najelementarniejszym zasadom higieny. Dom, w którym mieściła się nasza szkoła nie wiele różnił się od innych domów tej biednej, żydowskiej dzielnicy. Utrzymany niechlujnie, przedstawiał widok oplakany. Oficyny tego domu, w dolnej swej części opadłe z tynku, pokrywał jakiś lepki brud. W suterynach mieściła się fabryka guzików. Na dworze stały zawsze kadzie napełnione kwasem siarczanym, używanym do czyszczenia metali. Całymi dniami, wybladli robotnicy zanurzali w płynie tym sita, napełnione metalowymi guzikami i wówczas w kadiach syczało i wydzielały się trujące opary, które wypełniały podwórze i wdzierały się do mieszkań. Jeżeli dodamy do tego, niechlujnie utrzymaną i cuchnącą krowiarnię, nie skanalizowaną i stale zanieczyszczoną kloakę, oddychające zarażą ryszotki, śmierdzący zlew i śmietnik, to będzie pełny już chyba obraz tego podwórza szkolnego.

W smrodliwych zaułkach tego dziedzińca, w trujących wyciewach chemikaliów fabrycznych, wśród stale wietrzących się tam jakichś brudnych łachmanów biedoty żydowskiej, w upalne dni letnie, z narażeniem zdrowia używaliśmy rozkoszy zabawy.

Przez strome, kręte, słabo oświetlone schody poprzecznej oficyny, wchodziło się na pierwsze piętro, gdzie mieścił się lokal szkolny. Składał się on z niewielkiego pokoju (pieredniaja), połą-

czonego drzwiami z większym trzy, czy cztero-okiennym pokojem (kłas), w którym trzema rzędami stały ławki szkolne. Na ścianie, między oknami wisiał portret cara Mikołaja II, w złoczonej ramie. Katedra, nad nią na ścianie krucyfiks, na innych ścianach mapy Rosji azjatyckiej i europejskiej, obrazki przedstawiające cztery pory roku, oraz stojąca na trójnożu tablica, stanowiły dopełnienie urzędnictwa szkolnego.

Szkołę tę pod koniec roku 1904 przeniesiono do innego lokalu przy ul. Grzybowskiej Nr 61, ale opisane wyżej warunki nie wiele się zmieniły.

A nauka?...

Szkoła ówczesna, od lat wielu była w rękach zaborcy narzędziem rusyfikacji.

Rusyfikacja szkoły nastąpiła już po powstaniu styczniowym, gdy do narodu polskiego zastosowano różnego rodzaju represje i prześladowania. Zaborcy wazyli się na to wiedząc, że po klęsce powstania naród pokonany fizycznie, a więc osłabiony duchowo wykaże w stosunku do ciemniejszych zmniejszoną znacznie odporność. I tak było istotnie. Zabrakło przecież najlepszych synów Polski, najdzielniejszych bojowników Niepodległości. Zapelnily się nimi kazamaty więzień, zaskrzypialy szubienice, wielu poszło w dalekie strony Sybiru „dzwonic kajdanami na świadectwo prawdzie”, wielu emigrowało zagranicę. Po wielkim wysiłku powstańczym nastąpiło w kraju osłabienie i wyczerpanie. Mógł więc zaborca zrobić dalszy krok na drodze wynaradawiania Polaków.

Mówię „dalszy krok”, gdyż akcja wynaradawiania trwała już od upadku powstania listopadowego. Wówczas zaborca uderzył w instytucje polityczne Narodu, zaś po klęsce powstania 1863 r., wysiłki rusyfikacyjne skierowano przeciw językowi polskiemu, a szczególnie na terenie szkoły. Potworną walkę wypowiedziano Narodowi, wprowadzając język rosyjski jako wykładowy, nawet do szkół początkowych. Oczywiście zmian takich nie można było wprowadzić od zaraz. Koniecznym było uprzednie przygotowanie rusyfikatorskich kadr nauczycieli. Dopiero po tym miejscowe władze mogły zakomunikować carowi, „że w wykonaniu reskryptu carskiego, po przygotowaniu kadr nauczycieli władających językiem rosyjskim, jest już możliwym wprowadzić język ten w szkołach ludowych. W ten sposób, w wykonaniu planu zakreślonego Najwyższą wolą Waszej Cesarzowskiej Wysokości, język rosyjski, jako język państwowy, będący jednym z najsilniejszych środków dla zjednoczenia kraju Nadwiślańskiego z Cesarstwem Rosyjskim, otrzymał teraz przodujące znaczenie we wszystkich miejscowych zakładach szkolnych, począwszy od szkoły ludowej, a kończąc na uniwersytecie”.

Ukoronowaniem wysiłków rusyfikacyjnych było wydanie po tym nowego rozporządzenia, wprowadzającego język rosyjski jako wykładowy.

W broszurze R. Skrzyckiego (Roman Dmowski) p.t. „Młodzież polska w zaborze rosyjskim”—Lwów 1895 r., znajduje się między innymi taki ustęp:

„Postanowił (Apuchtin — d. mój) zrobić wszystko, ażeby z tej młodzieży społeczeństwo polskie miało jak najmniej pożytku. W tym celu szkoła pod jego kierownictwem stara się dać jak najmniej wiedzy, zabić wszelką twórczość, szerszy polot i samodzielność umysłu, w tym celu usiłuje znieprawić charakter, wyzuc młodzież z uczuć moralnych, zabić poszanowanie godności osobistej, wypłenić wszelką tęgość charakteru i zdolność do czynu”.

W takich warunkach, „godnych wykonawców” dobierały władze carskie do wprowadzenia w życie tych planów. Wielu ze starszego pokolenia pamięta zapewne i wspomina ze zgrozą czasy apuchtinowskie, czasy smutne i złe.

Mógł wówczas dygnitarz szkolny Witte (z okazji otwarcia w Chełmie pierwszego rządowego gimnazjum) na przyjęciu w klubie rosyjskim w Warszawie powiedzieć: „Dumny jestem z tego, że pierwszy wraziłem nóż w serce Polski”. W stosunku do tych wykonawców woli carskiej, którzy w bezmyślnej nienawiści do Polski posuwali się do podobnych oświadczeń, krążyło wówczas określenie, że zamierzają oni „dogłupić Polskę do urownia Rosji” (ogłupić Polskę do poziomu Rosji).

Za moich lat dziecięcych ustąpił już wprawdzie ze swego stanowiska, z powodu starości, osławiony Kurator Warszawskiego Okręgu Szkolnego, Aleksandr Lwowicz Apuchtin, który program swój streścił w powiedzeniu: „Jeszcze dziesięć lat, a matki Polki, nad kołyskami niemowląt śpiewać

będą kołysanki rosyjskie". Ustąpił wyróżniony reskryptem carskim, wyrażającym mu wdzięczność „za gorliwe i nieugięte dążenie do zapewnienia znajomości języka rosyjskiego w licznych szkołach kraju, nieustanne staranie o podtrzymywanie łączności z Cesarstwem, drogą przyswajania zasad rosyjskiej państwowości". Reskrypt ten zalecał następcom Apuchtina „aby na tym stanowisku stale bronili zasad, które uczynił Pan (Apuchtin—dod. mój) podstawą wychowania polskiej młodzieży”.

W takich warunkach nasilenie systemu rusyfikacyjnego trwało nadal. Szkoła, a przede wszystkim może szkoła początkowa, była najważniejszym narzędziem rusyfikacji.

Wykładowym językiem — jak już wspomniałem — był język rosyjski. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w szkołach ludowych nauczanie rozpoczynało się nieledwie od alfabetu, to jasnym się stanie, że wykłady w obcym, nieznanym języku wywierały na ogólny rozwój umysłu dziecięcego wpływ fatalny, a dla dzieci były poprostu torturą. „Pierwsze kształcenie inteligencji, piękna walka, to szacowne widowisko, ten zaiste wzniosły akt: uczenie się dziecka opanowywania pojęć nieznanych przez umysł, który to czyni raz pierwszy, było... bezcelowo zadana męczarnia” — pisze Stefan Żeromski w „Syzyfowych pracach”.

Niezbędnym warunkiem początkowej edukacji była znajomość całego korowodu nieskończonej liczby, bezsensownych tytułów: cara, carycy, ca-

rycy matki, członków carskiej rodziny, następcy tronu, ministrów, generałgubernatorów, gubernatorów, kuratorów, inspektorów i wielu innych. Dla przykładu i ku wiecznej rzeczy pamięci podaję tu jeden z takich tytułów osoby „najwyżej urodzonej”:

„Jewo impieratorskoje wieliczestwo, gosudar impierator Nikołaj wtaroj Aleksandrowicz, samodierżec wsierosijskij, korol polskij, wielikij kniaź finlandskij, i proczaja, proczaja, proczaja”.

Uczniowie szkółek początkowych musieli umieć na pamięć niezliczoną ilość takich tytułów, różnych „najdostojniejszych i dostojnych”. Dzieciom nieznanym języka rosyjskiego, tytuły te stałe się plątały. Ażeby to opanować, niektórzy gorliwsi nauczyciele, przed spodziewaną rewizją szkolną codziennie rano, po modlitwie powtarzali z uczniami chórem te tytuły, które kojarzyły się z modlitwą, nabierając w pojęciu dzieci znaczenia świętości. Nauczyciel nasz Bronisław Malanowski w swoich wspomnieniach przytoczył przykład, gdy na wezwanie uczennicy do wypowiedzenia tytułu „gosudaria impieratora”, siedmioletnia dziewczynka zerwała się z ławki, złożyła rączki jak do modlitwy i pobożnie spoglądając na portret cara wiszący na ścianie, recytowała jak pacierz: „*Jewo impieratorskoje wieliczestwo*”...

Wiele czasu poświęcano na naukę pieśni rosyjskich, wśród których hymn „Boże caria chrani” naczelne zajmował miejsce. Burzyliśmy się prze-

ciw nakazowi „dukania” pieśni rosyjskich. I chciałoby się nieraz zaśpiewać: „Dalej bracia do bułata”, „Bartoszu, Bartoszu, hej, nie traćwa nadziei”, albo „Patrz Kościuszko na nas z nieba”, to jest te pieśni, które uczyły nas porozbiorowych dziejów Polski, gdyż z podręczników historii, używanych w szkołach wiedzieliśmy o Kościuszcze tylko tyle, że był sobie polski taki generał, którego rozgromił wielki wódz Suworow, przy czym Kościuszko powiedział: „Finis Poloniae” i od tego czasu Polski już nie było.

Jakże nie było? A co znaczył znany nam z częstych wycieczek zamiejskich, utkany kulami kościółek na Woli i Olszynka Grochowska ze śladami okopów bojowych? A co znaczył dostojny w swoim przymusowym zaniedbaniu grób Pięciu Poległych na Powązkach? A mordownia najlepszych synów Polski — Cytadela, wybudowana przez carów, by grozić buntowniczej Warszawie, czyż nie były to widome znaki porozbiorowych dziejów Polski? Więc burzyliśmy się przeciw rusefikacyjnemu podręcznikom historii, przy pomocy których chciano zniweczyć w Narodzie pamięć o życiu i czynach Kościuszki i usiłowano zarzucić zasłonę na drogę krzyżową, po której pokolenia porozbiorowe kroczyły ku Niepodległości.

Takimi oto drogami postępowało „nieustanne i nieugięte dążenie do przyswajania zasad rosyjskiej państwowości”.

Jak to dążenie wyglądało przetłumaczone z języka urzędowego na zwykły, świadczy źródło nie

przesadzone, gdyż opinia rosyjskiego oficera żandarmskiego Margrafskiego, zamieszczona w czasopiśmie „Oczerki Priwislinja”:

„Zarząd naukowy chce nietylko pogodzić powierzoną wychowaniu jego młodzież polską z Rosją, lecz przekształcić ją na Rosjan, nie dość na tym, postanowił z niej zrobić nietylko Rosjan, ale ludzi nienawidzących jeszcze wszystkiego co swoje, co rodzime i polskie”.

Jeżeli do tego co powiedziałem wyżej dodamy jeszcze uderzająco dużą ilość „dni galowych”, gdy zamiast uczyć się, musieliśmy chodzić „na molebrien” modlić się przymusowo za cara, to będzie, pełny już chyba obraz rządowej, rusefikacyjnej szkoły początkowej.

Nauczycielami takich szkół byli Rosjanie, wśród których Polacy należeli do wyjątków, a i ci nieliczni nauczyciele Polacy byli steroryzowani panującym systemem... a wizyty inspektorów szkolnych były częste. Pamiętam dobrze tych ugrzecznionych, a mimo to znienawidzonych wizytatorów. Zdarzało się, że na powitalne słowa inspektora „zdrastwujtie dieti” zamiast przepisowego „zdawja żelajem waszemu błagorodju”, potrafiliśmy milczeć jak grób. Pan inspektor spoglądał wówczas na nauczyciela z uśmiechem, nie bez cienia ironii, a na nas — groźnie. Rozumieliśmy się bez słów. Pan inspektor świdrował nas oczami, ale i nasze sześćdziesiąt par oczu wychodziło na spotkanie wzroku pana wizytatora i żadna powieka nie drgnęła, chociaż serca kołatały mocno pod

uczniowskimi bluzami, a niejednemu z nas ze ścisłego gardła wyrwał się krzyk protestu.

Było to także swego rodzaju bohaterstwo — heroizm milczenia.

ROZDZIAŁ IV.

Głową przebijesz mur niewoli.

Nagrody pieniężne za „usierdję”, czyli za skuteczne rusyfikowanie dzieci. — Narodziny akcji narodowej nauczycielstwa. — Poetycki protest przeciw kultowi „zdrowego rozsądku”. — Wspomnienie o Marianie Bohuszu w „Ludziach bezdomnych” St. Żeromskiego. — Kierunek „narodowy” i „postępowy”. — Zjazd delegatów w Pilaszkanie. — Jakim był nasz nauczyciel.

Przykrą stroną antyrządowych manifestacji była obawa, aby konsekwencje nie spadły ciężarem swoim na nauczyciela. Nauczyciele bowiem byli całkowicie zależni od rządu, a opinia wizytatora stwierdzająca niedostateczne „usierdję” (gorliwość) albo — co gorsza — „niebłagonadźność” (nieprawomyślność) mogła stanowić o przeniesieniu nauczyciela na gorsze stanowisko, lub o pozbawieniu pracy. I przeciwnie „usierdzie” i „błagonadźność” były nagradzane, czasem nawet pieniężnie, co było mocnym atutem w rękach władz szkolnych, gdyż naogół nauczyciele byli wynagradzani nędz-

nie. Uposażenie nauczyciela wynosiło 9 do 15 rubli miesięcznie. Starsi i „zasłużeni” zarabiali więcej, ale wogóle, uposażenie miesięczne nauczyciela nie przekraczało 30 rubli.

Inspektorzy szkolni dysponowali przeznaczonymi przez rząd na nagrody funduszami i korzystając z biedy nauczycieli, rozdawali im czasem niewielkie sumy pieniężne za „gorliwość” i dobre rezultaty nauczania, czyli innymi słowy za skuteczne rusyfikowanie dzieci.

Ale czasy, które wspominam, były okresem, gdy po wieloletniej popowstaniowej apatii, poczyna się znów budzić polska irredenta. Przedrewolucyjne nastroje przenikają i do sfer nauczycielskich. I w tym środowisku poczyna się budzić żywy ruch patriotyczny. Przodowali temu ruchowi ludzie tej miary co J. K. Potocki (Marian Bohusz).

Marian Bohusz jako działacz oświatowy wywierał duży wpływ nie tylko na starsze pokolenie, lecz i na młodzież, wśród której był popularnym i lubianym. Wykładał w szkołach, gdzie godziny lekcyjne poświęcał czasem pogadankom i dyskusjom, kształcącym serca i umysły młodzieży. Niezależnie od tego zajmował się publicystyką, w której odznaczał się gorącym temperamentem. Był on idealistą-romantykiem, ale zarazem i patriotą czynu. Jako romantyk i entuzjasta czynu, przeciwstawił się powiedzeniu pozytywistów: „Głową muru nie przebijesz”. Owszem powiadał, że w stosunku do niewoli politycznej „głową mur przebijesz”.

W wiele lat później, przypomniał mi się stosunek Mariana Bohusza do tego przysłowia, gdy w roku 1920 Marszałek Józef Piłsudski, zwiedzając uniwersytet w Lublinie, takim przemówieniem zaszczylił 15-letnią rocznicę wybuchu strajku szkolnego: „Od młodości kładziono mi w głowę przysłowia, które miały wyrażać mądrość Narodu: „nie dmuchaj przeciw wiatrowi”, „głową muru nie przebijesz”, „nie porywaj się z motyką na słońce”. Otóż należy pamiętać, że jeżeli kiedykolwiek marzenia mają się urzeczywistnić, to tylko drogą zaprzeczenia tych mądrych przysłów. Młodzież powinna być wychowywana na podstawach przeciwnych tym przysłowiom. Tak wychowana młodzież — zakończył przemówienie Marszałek Józef Piłsudski — potrafi dokonać czynów bohaterskich i urzeczywistnić swoje marzenia”.

Podobnie i Marian Bohusz zwalczał pozytywistyczny kult „zdrowego rozsądku” w życiu. Poza artykułami prasowymi, rozsiewał swoje przekonania wierszami, których dużo krążyło wśród młodzieży w odpisie, jak np. poetycki protest przeciwko pozytywizmowi, zaczynający się od słów:

O nie mówcie sami sobie,
Że oprócz wiedzy wszystko czcze.

Marian Bohusz propagował idee demokratyczne. Utrzymywał, że lepsze jutro Polski leży przede wszystkim w demokratyzacji kultury polskiej. Odrodzenie Polski widział w oparciu o lud i walcząc z prądami wywrotowymi, łączył akcję oświa-

tową z równorzędną walką polityczną o wolność Polski. Aresztowany przez władze carskie, znalazł się w słynnym X pawilonie cytadeli warszawskiej, skąd powrócił wyczerpany psychicznie, z nadwątlonym zdrowiem, aby znów w podziemiach konspiracji wykuwać lepsze jutro Polski. Ale siły duchowe już mu nie dopisały i z terenu pracy i walk odszedł w sposób tajemniczy. Ten — zdawałoby się — niestrudzony działacz, zmożony więzieniem i walką z siłami mroku, wyszedł z mieszkania i... nie powrócił więcej. Od tej chwili zaginął wszelki ślad po nim. Jedyne Stefan Żeromski w „Ludziach bezdomnych” uwiecznił jego pamięć czułymi słowy: „Oto tam, w tych mokrych fałach przesuwa się i niknie mała, obdarta postać mego starego, mego kochanego nauczyciela, Marianna Bohusza. Biegnę za nim myślami po jakichś bezdrożach, po miejscach samotnych, opustoszałych, gdzie na nieszczęśliwych ludzi śmierć cierpliwie wyczekuje... Gdzie jest ten dół śmierci, w którym zgasiło się to serce najbardziej czułe, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych”.

Tak tajemniczo odszedł ten jeden z najwybitniejszych działaczy ostatnich lat niewoli. Jednakże dzieło jego trwało nadal. Zaszczepione przez niego idee w oparciu o sfery ludowe, rozwijały się dalej, podtrzymywane między innymi przez weteranę już wówczas prac społecznych, Wandę Umińską. Należała ona do najstarszej generacji działaczy niepodległościowych. Brała czynny udział w

powstaniu 1863 r. i według naocznych świadków towarzyszyła Trauguttowi w drodze na szubienicę. W czasach, które opisuje Wanda Umińska mimo podeszłego wieku, z wielką energią oddawała się konspiracyjnym pracom oświatowym wśród ludu.

Ruch oświatowy zataczał coraz szersze kręgi. Na teren pracy i walki przybywali wciąż nowi działacze. Oczywiście ruch ten był odbiciem ogólnych prądów politycznych, nurtujących wśród społeczeństwa polskiego. W środowisku oświatowym działacze dwu kierunków politycznych ubiegali się wówczas o wpływy wśród nauczycieli ludowych. Były to kierunki „narodowy” i „postępowy”. Moje sympatie skłaniały się ku kierunkowi „postępowemu” i dlatego z czasów walk o szkołę polską wyrwały mi się w pamięci mocniej niż inne, nazwiska działaczy obozu „postępowego” prof. Ludwika Krzywickiego, Izy Moszczeńskiej, Stefanii Sempołowskiej, inż. Stanisława Kruszewskiego, Stanisława Posnera i in. Byli to działacze z poza szeregów nauczycielskich, którzy przodowali ruchowi oświatowemu.

Spółeczeństwo polskie odnosiło się do nauczycieli ludowych niechętnie, uważając ich za urzędników rosyjskich, lojalnych dla rządu. Z pod tego określenia nie byli wyłączeni nauczyciele Polacy. Czy słusznie? Może tak było dawniej... ale przecież i dawniej zdarzało się, że nauczyciele Polacy niejednokrotnie inspirowali bunt rodziców przeciw szkole rosyjskiej. Zdarzały się nawet na terenie kraju wypadki bojkotu rządowej szkoły.

Były to wprawdzie zdarzenia sporadyczne — masowego ruchu nie było.

Ale gdy w niedługim czasie poczęły dać wichry rewolucji i na terenie naszego kraju wybuchnął polityczny strajk powszechny, a dzieci porzuciły rusyfikacyjną szkołę, żądając wolnej szkoły polskiej, nauczycielstwo szkół ludowych przystępuje także do akcji czynnej. Z inicjatywy działaczy ludowych został zwołany do Pilaszkowa pod Łowiczem, wielki zjazd delegatów organizacji nauczycielskich z całego Królestwa Kongresowego.

W zjeździe tym, z poza nauczycielstwa wzięli udział: Wacław Sieroszewski (obecnie prezes Polskiej Akademii Literatury), niestrudzona działaczka społeczna Stefania Sempołowska, Darowski (późniejszy wojewoda krakowski) i wielu innych. Z pośród działaczy - nauczycieli na zjazd przybyli między innymi: Zygmunt Nowicki (później vprezes zarządu Związku Nauczycielstwa Polskiego), L. Suda, St. Najmoła, Klimek, Tadeusz Ziemkiewicz, któremu piszący te słowa zawdzięcza wiadomości o uchwałach zjazdu pilaszkowskiego.

Tadeusza Ziemkiewicza poznałem w wiele lat później na terenie pracy społecznej na Grochowie, gdzie po odrodzeniu Niepodległości przypadł mu w udziale zaszczyt objęcia stanowiska kierownika jednej z pierwszych powszechnych szkół państwowych polskich.

Na tym stanowisku cieszył się dużym uznaniem. Był typem światłego i wzorowego pedagoga, ro-

zumiejącego ważną rolę swego zawodu, w życiu narodu i Państwa. Był to pedagog o pięknych cechach społecznika i wrodzonej żywotności. W czasach zaborczych wykuwał lepsze jutro w podziemiach konspiracji, gdzie płonął nieprzerwanie znicz patriotyzmu i ofiarności i skąd wybuchnął płomień irredenty nauczycielskiej, aby poprzez uchwały zjazdu w Pilaszkowie, znaleźć swój mocny wyraz w walce nauczycielstwa ludowego o szkołę polską.

Zjazd delegatów kół nauczycielskich w Pilaszkowie, był zdarzeniem przełomowym w akcji o szkołę narodową i wolną. Odezwały się tam głosy nauczycieli, że w historycznym momencie, gdy wzbiera fala buntu przeciw zaborcy, nie przystoi nauczycielom ukrywać się za plecami uczniów i należy przystąpić do jawnej walki o unarodowienie szkoły. Na zjeździe tym, poza szeregiem innych, zapadła uchwała, która stanowiła punkt przełomowy w akcji o spolszczenie szkoły ludowej. Postanowiono, że nie czekając na wyniki akcji na drodze ustępstw rządu, nauczycielstwo ludowe niezwłocznie przystąpi do nauczania w szkole w języku i duchu polskim. Wkrótce po tym zjeździe nauczycielstwo obozu „narodowego” przystąpiło do takiejże akcji i w ten sposób całe nauczycielstwo, bez względu na kierunki polityczne wzięło czynny udział w walce o szkołę polską.

W takich warunkach ruch wśród nauczycieli ludowych wzrastał stale, a świadomość narodowa wzrastała. Nauczyciel polski stawał się nie-

tylko nauczycielem Polakiem z ducha, ale i działaczem niepodległościowym. Nielegalna literatura jak „Robotnik”, redagowany wówczas przez późniejszego Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, krakowski „Przedświt”, galicyjski „Polak” itp. nie rzadko były kolportowane przez nauczyciela ludowego.

Jak widzimy, nie brakło wówczas wśród nauczycielstwa polskiego ludzi o dużym poczuciu narodowym, dużej odwadze cywilnej i poświęceniu dla Sprawy. Do takich pedagogów, świadomych swojej roli polskich działaczy i wychowawców, należał nauczyciel naszej szkoły, Bronisław Malanowski, autor „Wspomnień wiejskiego pedagoga” (*Wspomnienia wiejskiego pedagoga — wydawnictwo Księgarni Polskiej T-wa Macierzy Szkolnej — r. 1930*).

Bronisław Malanowski był wzorowym pedagogiem. Zawód swój kochał prawdziwie. Urodzony i wychowany na wsi, wśród ludzi pracy, pragnął w tym środowisku, a nie gdzieindziej poświęcić się pracy oświatowej. Posiadał kwalifikacje nauczyciela szkoły średniej, ale mimo czynionych mu propozycji objęcia stanowiska nauczyciela gimnazjalnego, pozostał w szkolnictwie ludowym. Światły pedagog pragnąc dać głębszy wyraz swej pracy nad oświatą ludu, a mając zdolności pisarskie, poświęcał się także pracy piśmiennej. Był stałym korespondentem czasopism: „Zorzy”, „Gazety Świątecznej”, „Ech Płockich i Łomżyńskich”. Ponad to pisywał artykuły do

całego szeregu innych pism, pod przybranym nazwiskiem „Regulusa”. Spod jego pióra wyszło także szereg podręczników języka polskiego i innych wydawnictw popularnych.

Autor „Wspomnień wiejskiego pedagoga” ukończył seminarium nauczycielskie w Wymyślinie. Seminarium to było jedną ze słynnych placówek, założonych przez rząd rosyjski w celu rusyfikowania przyszłych nauczycieli, w dążeniu, aby dokonać dzieła wynarodowienia dzieci polskich, przy pomocy nauczycieli Polaków.

Nie od rzeczy będzie może naszkicować na tym miejscu stosunki panujące w tych rusyfikacyjnych seminariach. Ogólny poziom programu seminarium był skromny, natomiast zakres języka rosyjskiego, historii i geografii Rosji był niezwykle obszerny. Czytanie książek polskich było surowo wzbronione. W kościele i w szkole wychowawcy zmuszeni byli modlić się po rosyjsku, śpiewać hymn „Boże caria chrani” i inne pieśni rosyjskie. Podręczniki szkolne były tendencyjne, fałszujące historię. Wychowañcom zabroniono rozmawiać po polsku. O poziomie umysłowym wychowawców świadczy następujące zdarzenie, zaczerpnięte ze wspomnień naszego nauczyciela: W seminarium nauczycielskim w Wymyślinie, inspektor podsłuchał dwu uczniów rozmawiających po polsku. Szalał z tego powodu z wściekłości i długo nie mógł się uspokoić, krzycząc z oburzeniem: „*Tut wisit ikona Bożej Matieri i portiet caria, a oni smiejut bollat pa polski*” (tu wisi obraz Matki

Boskiej i portret cara, a oni śmia paplać po polsku).

W takich warunkach, jeżeli wziąć pod uwagę system teroru, i zależność materialną nauczyciela od rządu, to nie będzie wydawać się zbyt dziwnym, że zdarzało się, iż wychowawcy tych seminariów, będąc w następstwie na posadach nauczycielskich z przyzwyczajenia lub z obawy, przy spotkaniu z kolegami zaczęli rozmawiać po rosyjsku.

I zdawało się, że rusyfikacja święci swój triumf.

ROZDZIAŁ V.

W cudnej krainie legend narodowych.

Lekcja rosyjskiego. — Odbudujemy „nasz dom”. — „Nieprawomyślnie” intencje nauczyciela. — Temat, stanowiący „długie nocne rodaków rozmowy”. — Pauza. — Niech żyje wolna Polska! — Ks. prefekt Edward Szczodrowski. — Cudowne uczucia wieku dziecięcego — wiara i ufność. — Kościuszkę nie wyrzekł: „Finis Poloniae”. — Czuwaj — nadchodzi czas...

Nauczyciel nasz, chociaż ukończył seminarium w Wymyślinie, pozostał mimo to nauczycielem Polakiem z ducha. Godziny lekcyjne poświęcał często pogadankom kształcącym umysł i serca, pobudzającym miłość ziemi ojczystej. Na lekcjach poruszał nieraz zakazane tematy, wytykając w ten sposób prawidłową linię naszego rozwoju duchowego.

Z tych czasów, jaśniej niż inne, rysuje się w mojej pamięci taki epizod z życia szkolnego: Na lekcji rosyjskiego, nawiązując do czytanej powiastki „o kamiennom domu”, który runął wskutek wadliwych fundamentów, nauczyciel usiłował prze-

prowadzić analogię do upadku Polski, którego przyczyną były złe fundamenty ustrojowe. Nie wiem, czy chęć sprawdzenia poziomu naszego uświadomienia narodowego, czy może obawa, by w czasie wizyty inspektora nieostrożne odezwanie się ucznia nie spowodowało „wspy”, sprawiły, że zacny pedagog utrzymał treść pogadanki w formie przenośni, niedość zrozumiałej dla trzynastoletnich mózgów. Przez pewien czas słuchaliśmy uważnie, siedząc jednak „jak na niemieckim kazaniu”. Wiedzieliśmy, a raczej domyślaliśmy się tylko, że są w słowach nauczyciela jakieś niedopowiedzenia, jakieś patriotyczne aluzje, na które byliśmy bardzo wrażliwi... i których pożądalibyśmy.

Domyślałem się i ja i dlatego pochłaniałem słowa pedagoga, cały w słuch zamieniony. Dziś jeszcze brzmią mi w uszach te dawno przebrzmiałe słowa, którymi pan Malanowski zakończył pogadankę: „Wzmocnieni doświadczeniem przeżytych czasów odbudujemy „nasz dom”, ale postawimy go już na takich fundamentach, że żadna siła wraza nie będzie w stanie go obalić”.

W tym momencie domyśliłem się „nieprawomyślnych intencji” nauczyciela-Polaka. Zrozumiałem, że „nasz dom” to Niepodległa Polska. Świadomość ta rozkosznym jakimś dreszczem spadła mi na serce. Pan Malanowski wodził wzrokiem po sali, wychodząc na spotkanie oczu sztubackich, rozjaśnionych uśmiechem zrozumienia. Niestety, oczu takich nie znalazł, a ja, jakże się śmiałem z niedomyślności kolegów. Zanosilem się poprostu od

śmiechu. Nauczyciel uśmiechając się z serca, zwraca się do mnie. Spostrzegł pewnie, że zrozumiałem ukryty sens pogadanki. Pragnąc zapewne spowodować rozwinięcie „nieprawomyślnego tematu” zapytał porozumiewawczo:

— *Czewo to Polinskij tak smiejotsia?* (Czemu to Poliński tak się śmieje?).

Odgaduję myśl nauczyciela, pragnę odpowiedzieć na pytanie, wyjaśnić kolegom. Rozglądam się po sali; koledzy są jednak tacy śmieszni w swej niedomyślności, że nie mogę ze ściśniętego skurczem śmiechu gardła wydobyć odpowiedzi.

— *Poczemu Polinskij nie otwiczajet?* (dlaczego Poliński nie odpowiada?) — rzuca znów porozumiewawcze pytanie nauczyciel, zadowolony, że „zwietryłem” utajoną w przenośni „niebłagonadiożnost ucziela” (nieprawomyślność nauczyciela). Sztubacy wciąż jeszcze nie domyślają się, że zacny pedagog pragnie na terenie szkoły rosyjskiej, w świetle dnia nawiązać temat, stanowiący dotąd tylko „długie nocne rodaków rozmowy”. To też nastrój w klasie jest swobodny. Na pytanie nauczyciela, dlaczego nie odpowiadam padają z różnych stron sali mniej lub więcej dowcipne odpowiedzi:

— Bo on wie, ale nie powie.

— Nie może odpowiedzieć, bo ma cukierek w buzi.

Takie i tym podobne odpowiedzi sypią się jak z rogu obfitości, aż oto z ostatniej ławki zwanej przez nas „oślą” rozlega się głos:

— Nie odpowiada, bo nic nie rozumie, a śmieje się z własnej głupoty.

I zaraz na twarzy pedagoga zjawia się wyraz niezadowolenia. Sztubacy wiedzą co to oznacza—dalsze żarty byłyby już lekkomyślnością nie do darowania, więc sala ucichła, a pan Malanowski zwracając się w stronę ostatniej ławki, mówi głosem ostrym, nie bez odcienia jakiegoś zawodu:

— *Nie bezpakojsia o jewo um — on umnieje was wsiech* (nie obawiaj się o jego rozum — on rozumniejszy od was wszystkich), a zwracając się do mnie dodał:

— Wyjaśnijże im o co tu chodzi... wszystko wyjaśnij...

I zaraz po tym — wielka pauza.

Pauza — najpiękniejszy wyraz w słowniku sztubaka. Więc zatrzymam się na tym wyrazie, aby z dalekiej przeszłości wyczarować tę chwilę szczęśliwą. Odłożę pióro, przymknę oczy i pocznę gonić myślą te chwile radości niepowtarzalnych... oto jawi się we wspomnieniu... dźwięczy dzwonek — duża pauza. Powietrze wibruje melodią znaną z dzieciństwa.

— *Pieremiena* (pauza) — powstaje hałas na sali, ale dopiero na korytarzu wybucha huragan. Po krętych, spadzistych schodach przelatuje tajfun. Z krzykiem, śmiechem, na złamanie karku, rąk i nóg, bo przecież wszyscy musieliśmy być na dole pierwsi. Więc prędzej, byle nie stracić ani jednej chwili, skacząc po trzy, cztery schody, naosłep, by znaleźć się prędzej na podwórzu, w tej doli-

nie szczęśliwości niewysłowionych, aby pochłonąć więcej rozkosznych chwil, by rozprężyć mięśnie, zmęczyć się i szybciej przerzucić przez serce fale krwi zdrowego dzieciństwa.

Gdy już cała gromada wypadła na podwórze pełne śmiecia, pyłu, ale i... uroku, rozdzielano się na grupy. Jedni, pragnąc spożyć przyniesione z domu śniadania: bułki z masłem lub smakołyki w rodzaju chleba świętojańskiego, zgniłych ulegałek i t. p. cudów świata, roztasowywali się na stosach desek, suszących się na słońcu, inni rozpoczynali zabawy wojenne.

Płyną wspomnienia... zmieniają się obrazy. Oto letni upalny dzień — wielka pauza. Po stoczonych „bitwie Polaków z Moskalami” stoi na stosie desek chłopiec w czarnej uczniowskiej bluzie ze stojącym urzędniczym kołnierzem, opasany paskiem z błyszczącą klamrą — to ja. Obok, jak na murach fortecznych, główny wódz „Jaros” w otoczeniu „sztabu” (Ruciński, Myszkowski, Kędziński i inni). W dolinie koło śmietnika trwa jeszcze walka, ale chyli się już ku końcowi, bo oto „Moskale” haniebnie podają tył i uciekają, wyjąc głośno jak szatany. Wówczas, „naczelnym wódcą” polski daje rozkaz pościgu za „nieprzyjacielem”. „Hufce polskie” ruszają i rozlega się ogłuszający okrzyk, od którego zdaje się, że mury popękają: „Niech żyje wolna Polska!”

Ale oto dźwięczy „zwanok” (dzwonek) ogłaszający koniec pauzy. Jak długo trwał głos dzwonka liczyła się pauza i zabawa trwać jeszcze mo-

gła. Dopiero gdy dzwonek ucichł kończyła się pauza i zwycięzcy i zwyciężeni wracali „w klas” (do klasy). Czasem rozmach zabawy był tak wielki, że niektórzy z nas przeciągali zabawę ponad dozwoloną normę. Wówczas przy wejściu na salę oczekiwał pan nauczyciel z linią w ręku i wchodzącym maruderom kolejno „solil łapy”. Dlatego prosiliśmy dyżurnych, by oznajmiając zakończenie pauzy dzwonili długo, jaknajdłużej, by chociaż chwilę dłużej trwał znak szczęścia na zegarze dnia szkolnego.

I znów godzina lekcji. Jeżeli była to lekcja religii, przyjmowaliśmy ją z uczuciem ulgi. Religię wykładał ks. prefekt Edward Szczodrowski. Wykładał tak zajmująco, że ani spostrzegaliśmy jak szybko leciał czas. Nawet pan Malanowski, który w czasie lekcji w „pieredniej” (przedpokoju) sprawdzał nasze kajety, odrywał się często od pracy i uchylał drzwi sali lekcyjnej, aby posłuchać wykładu złotoustego kapłana.

To też podbił moją duszę i serce ks. prefekt Szczodrowski. Pod jego dobrym wpływem jakże się wzmożyły we mnie cudowne uczucia wieku dziecięcego: wiara i ufność, pod wpływem których czułem się bardzo szczęśliwy. Uczucia te wrzały wówczas w duszy mojej sztubackiej. Wierzyłem, że bez woli Pana Boga nic złego stać mi się nie może.

Wyobraźnia przywoływała mi przed roziskrzone oczy czary świata, stwarzając jak gdyby system filozoficzny, oparty na wierze, według którego za

wdaniem się Pana Boga każda krzywda na świecie pociągała za sobą karę krzywdziela, każda zbrodnia wychodziła na jaw, a cnota zasłużoną odbierała nagrodę. Pod wpływem tych uczuć modliłem się częściej i goręcej, wierząc, że wszystkie moje prośby i marzenia urzeczywistnią się. A były to marzenia i prośby czyste jak kryształ najczystszy. Wychowując się na hymnach wieszczów i „Odzie do młodości” marzyłem o szczęściu powszechnym, bo „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele”.

Gdy spojrzę myślą na ten okres mojego dzieciństwa, to zdaje się, że w całym moim późniejszym życiu nie ma okresu, który mógłbym jak ten, z taką czułością wspominać i do którego mógłbym się tak z serca uśmiechać. Wszystkie inne wspomnienia płyną jak fale rzeki, a to jedno stoi jak skała, na której tle rysuje się wyraźnie postać ks. Szczodrowskiego, młodego wówczas duszpasterza, gdy pochylony naprzód, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, przechadza się między ławkami, rzucając ziarno ważkich słów na wdzięczną glebę dusz sztubackich. Pamiętam, że po opuszczeniu szkoły, w ciągu lat wielu, gdy w wyobraźni rysowałem nieraz obraz człowieka prawego, szlachetnego, to musiał zawsze mieć postać wysoką i pochyloną, a ręce skrzyżowane na piersiach, jednym słowem, musiał być takim jak ksiądz-prefekt z mojego dzieciństwa.

Na lekcjach religii czas leciał szybko. Cieszyliśmy się, gdy ksiądz-prefekt przedłużał lekcję ponad przepisową godzinę, co zdarzało się często.

Koniec lekcji i rozstanie się z księdzem na przeciąg całego tygodnia przyjmowałem zawsze z uczuciem żalu, którego nie mogła przygłuszyć perspektywa, związanej ze zmianą lekcji, pauzy.

Z innych przedmiotów lubiliśmy jeszcze lekcje polskiego. Do nauki używano „Wypisy polskie” Augusta Jeskiego. W tych czasach jakoś pod wpływem podmuchów wolnościowych, w szkołach ludowych zaczęto uwzględniać język polski, ale w zakresie rozpaczliwie małym — zaledwie jakaś tam godzinka tygodniowo (wykładowym był nadal język rosyjski).

Niezapomniane nigdy wspomnienia pozostawiły mi te miłe godziny polskiego, gdy nauczyciel objaśniał wyjątki z „Pana Tadeusza”: „Grzybobranie”, „Grę Wojskiego na rogu”, „Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy”, „Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach” i t. p.. Przez czarowne wrota poezji Mickiewicza zacny pedagog wprowadzał nas na łono bujnej przyrody ziem polskich i dlatego przyroda zajęła w sercach naszych jedno z najpierwszych miejsc, a „Pan Tadeusz” stał się ulubioną naszą lekturą, zwłaszcza w lwowskim wydaniu, gdyż w wydaniach warszawskich wycięte były niemiłosiernie ustępy „zabronione” przez rosyjską cenzurę.

Z czasem lojalność pana Malanowskiego dla programów szkolnych zmniejszyła się jeszcze. Coraz częściej poruszał na lekcjach „nieprawomyślne” tematy, budząc w nas miłość ziemi i historii ojczystej.



Z. Plewińska-Smídowniczowa

...z cudnej krainy legend narodowych...

Pamiętam jasną godzinę lekcyjną, gdy z cudnej krainy legend narodowych powołał, aby przyswoić głowom naszym rozpalonym, piękne podanie o rycerzach w Tatrach, którzy śpią w pogotowiu, „a głowy ich na siodłach, a brody do pasa”.

Rycerze ci według legendy mieli kiedyś powstać i wybawić Polskę z niewoli. Od czasu do czasu budzili się nawet i zapytywali rodaków: „Czy już czas?”

— Jak myślicie — zapytał nauczyciel zwracając się do nas — prawda to, czy nieprawda, że tacy śpiący rycerze istnieją i oczekują tylko hasła, aby powstać do walki o wolność Narodu?

Podnosili chłopcy ręce do góry na znak, że chcą odpowiadać. Podnosiłem i ja, podrygując na

ławce z niecierpliwości, co nie uszło uwagi nauczyciela, gdyż zwrócił się do mnie mówiąc:

— Ja wiem, że Poliński odpowie dobrze, ale chciałbym usłyszeć jak inni odpowiedzą. Co o tym myśli naprzykład Kędzierski — prawda czy nieprawda?

— Nieprawda — odpowiada rudowłosy Kędzierski.

A Jarosiński jak odpowie?

„Jaros” swoim zwyczajem wstaje wolno i ze wzrokiem opuszczonym na ławkę odpowiada niepewnie.

— Chyba prawda.

— A jak wyjaśni to nam Wszędybył — zwraca się znów pedagog do płowowłosego chłopca o inteligentnym wyrazie niebieskich oczu, przysłuchującego się uważnie odpowiedziom sztubaków.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę wezwanego ucznia, który był „prymusem”.

Początkowo ja byłem pierwszym uczniem, do czasu, gdy przed rokiem przybył do szkoły Wszędybył. „Wykuwał” on w domu każdą lekcję, zwano go nawet z tego powodu „kowalem”. Pan Malanowski jednak, pochlebnie wyrażał się o moich zdolnościach, raz nawet powiedział mi, że gdybym zechciał odrabiać w domu lekcje, to niewątpliwie ja byłbym „prymusem”. Między mną i Wszędybyłem trwał — w klasie przynajmniej — wyścig o pierwszeństwo. Współzawodnictwo to interesowało kolegów, więc i odpowiedzi nasze, gdy chodziło o rozwiązanie zadań czy spraw bardziej za-

wilych wzbudzały wśród sztubaków duże zainteresowanie. Więc też, gdy nauczyciel wezwał Wszędybyła, oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. Wezwany podniósł się z ławki i głosem spokojnym i pewnym odpowiedział.

— Nie jest prawdą, że tacy śpiący rycerze istnieją w rzeczywistości, jest to tylko legenda, podanie ludowe.

Pan Malanowski uśmiecha się patrząc w moją stronę. Jestem pewny, że i ja będę wezwany, więc w myśli układam już sobie odpowiedź. W pamięci mojej falują głosy z naszego „kółka literackiego”. Tłoczy się pod czaszkę wspomnienie chwili, gdy Janek Ulanowicz czytał nauki pana Włodzimierza z „Wesela” Wyspiańskiego:

Jak pon szeptał nieraz w noc...
Jako w nas jest wielga moc,
Jako moc ta jest zakłeta,
Że się kiedyś opamięta.

W tym momencie pada moje nazwisko:

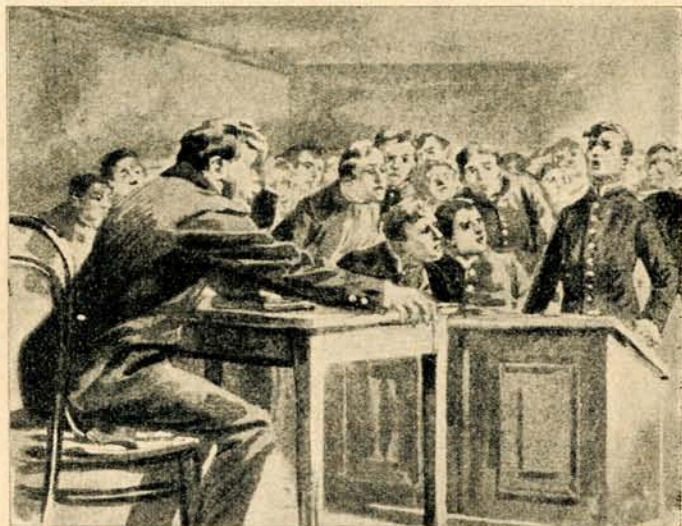
— Poliński niechaj nam wyjaśni kto tu ma rację, czy ci, co mówią nieprawda, czy ci, co powiadają — prawda?

Chociaż miałem już w myśli, przygotowaną odpowiedź, to jednak uderzyła mi do głowy fala krwi, wywołując rumieńce na twarzy, a w pierśsiach wzruszenie i obawę, aby nietrafną odpowiedzią nie zawieść zaufania pedagoga, wierzącego w moje „wyrobienie” polityczne.

— Wszyscy mają rację — powiedziałem.

— Jakto? — wyrwało się z ust nauczyciela pytanie, a na jego twarzy ukazał się jak gdyby cień zawodu. Pozbawiło to mnie pewności siebie, ale na moment tylko, gdyż zaraz ciągnąłem dalej pewnym już głosem:

— Mają rację ci, którzy mówią, nieprawda, gdyż takich śpiących rycerzy w rzeczywistości nie ma, ale mają rację i ci, którzy powiadają, prawda, bo



Scena z życia szkolnego.

St. Bagieński.

*... jest w narodzie polskim taka ukryta moc,
która kiedyś zbudzi się ...*

ci śpiący rycerze żyją, w duszach ludu, w którym wyraża się nieomylny instynkt i wiara, że jest

w narodzie polskim taka uszpięta moc, która kiedyś zbudzi się i wybawi Polskę z niewoli.

— Oto głębokie i trafne ujęcie — ucieszył się pan Malanowski — „śpiący rycerze żyją” i „jest to podanie ludowe” utwór bez autora, a właściwie utwór, którego autorem jest cały naród. Utwory takie roznosili po kraju śpiewacy ludowi jak np. sławny lirnik wioskowy, Wernyhora, którego imię utrwaliło się w legendzie, literaturze i malarstwie, za przepowiednię upadku Polski i ponownego jej zmartwychwstania. Do takich utworów należy także legenda o śpiących rycerzach, ukrytych wśród gór, w Tatrach „w tej turni co się Pisana nazywa”. Dzisiaj, w czasach niewoli legenda ta zajmuje w psychice Narodu jedno z najważniejszych miejsc. Śpiący rycerze — ukryte moce Narodu żyją... czas przebudzenia nadchodzi...

Tak oto zacny pedagog rozwijał przed nami czarowną nić podań i wierzeń ludowych, w oparciu o historię i literaturę ojczystą. Dla pana Malanowskiego były to oczywiście tylko podania, legendy, ale nas przenosiły one w cudną krainę czarów i rzeczywistości. Słuchając złotych słów nauczyciela, zapominaliśmy o otaczających nas warunkach niewoli i o świecie całym. W legendarnych śpiących rycerzach, poprzez cudne okulary dzieciństwa widzieliśmy prawdziwych Skrzetuskich, Wołodyjowskich, Kmiciców, z ich rycerską brawurą, która sobie za nic waży wszelkie niebezpieczeństwo, z kawalerskim junactwem, męstwem

i fortelami Zagłoby, dającymi zawsze wybawienie z wszelkiej jaka tylko być może opresji.

I przeżywaliśmy wiele chwil górnych.

A na lekcjach historii Rosji, nie mogąc znieść tendencyjnych fałszów, nauczyciel zbaczał często w dziedzinę prawdy historycznej, oświetlając właściwie rok 1863, powstanie listopadowe i insurrekcję kościuszkowską. Opowiadając o życiu i czynach Kościuszki, zarzucał kłamstwo tym, którzy pomówili bohatera narodowego o okrzyk maciejowicki „Finis Poloniae”. Omawiając naszą przeszłość narodową wytykał wady, jakich się strzec powinniśmy i wskazywał drogi, po jakich iść nam wypadnie, a my zasluchani wpatrywaliśmy się w pełną wad ustrojowych, ale i niewysłowionego uroku przeszłość Polski, a z drugiej strony — w smutne karty niewoli porozbiorowej i z krainy legend i rzeczywistości, przez usta zacnego pedagoga leciał ku nam przewodni głos: „Czuwaj! — nadchodzi czas”...

Pod takim kierownictwem duch patriotyczny był dla nas chlebem powszednim. Linia naszego rozwoju rysowała się coraz wyraźniej, niechęć do wszystkiego co rządowe rosła coraz bardziej, nienawiść do szkoły rosyjskiej gorzała coraz jaśniej, aż wybuchnęła płomieniem strajku szkolnego 1905 roku.

ROZDZIAŁ VI.

Podmuchy rewolucji.

Manifestacja na Grzybowie. — Podłoże moralne i polityczne strajku szkolnego. — Dziś albo nigdy. — Na stroje wśród uczniów szkół ludowych. — Na zebraniu „ludzi podziemnych”. — Staby głos opozycji. — Płomienne słowa zachęty.

Nadchodził pamiętny rok 1905, fatalny dla rządów carskich rok wojny rosyjsko-japońskiej. Klęski wojenne na Dalekim Wschodzie obdzierają z aureoli wszechmocy „rosyjskiego kolosa”. Wśród ludów zamieszkujących Rosję poczynają się budzić drzemiące prądy wolnościowe. Buntują się narody podbite, trzymane od lat wielu w głębokim poniżeniu. U nas zaczęło się od zbrojnej manifestacji na Placu Grzybowskiem w Warszawie, gdzie mimo zakazu czynników organizacyjnych i młodzież staje w szeregu.

Pamiętne dni... przesuwiają się w pamięci obrazy... oto gromadka ludzi, jakiś robotnik odczytuje głośno przyklejoną na parkanie odezwę, na-

wołującą do protestu przeciw mobilizacji i do zjawienia się w oznaczonym dniu na Placu Grzybowskim. Słychać głosy: „Nie pójdziemy mordować Japończyków, nic nam złego nie wyrządzili”, „Nie pójdziemy bronić ciemżyciela” i t.p.. Wśródzebranych panuje wielkie podniecenie. Padają słowa zachęty do stawienia się na Placu Grzybowskim.

W tym czasie odbyło się konspiracyjne zebranie w mieszkaniu państwa Jarosińskich, rodziców kolegi szkolnego „Jarosa”. Pan Jarosiński był członkiem P. P. S. (Polskiej Partii Socjalistycznej), i patronował konspiracyjnej pracy „Koła dzielnicowego”. Przyjaźniłem się z synem pana Jarosińskiego i byłem częstym gościem w tym domu. Jednakże zarówno mnie jak i „Jarosa”, ze względu na nasz młody wiek, nie dopuszczono do zbytnej poufałości z konspiracją.

Z czasem przestały mi wystarczać urywki rozmów prowadzonych między członkami „Koła”, przybywającymi na zebranie, więc długo nieraz wystawałem pod zamkniętymi drzwiami pokoju, w którym odbywały się wykłady, przysłuchując się namiętym dyskusjom nad teoriami Marksa, taktyką Partii i organizacją wystąpień przeciw rządowych.

Byłem pewien, że na zebraniu będą omawiane sprawy niezwykle. Paliła mnie ciekawość. Wraz z „Jarosem” zbliżyliśmy się do drzwi. Zebranie poświęcone było sprawie organizacji zbrojnej manifestacji na Placu Grzybowskim. Słuchaliśmy z zapartym tchem; podglądaliśmy przez dziurkę

od klucza, pragnąc ujrzeć tę garść straceńców, którzy porywali się na potężną siłę zbrojną caratu.

Zebranie było mieszane — robotnicy i inteligenci. Padały na nim słowa mocne, nawołujące



Na zebraniu „ludzi podziemnych”.

do walki zbrojnej o własne Państwo Polskie, w którym lud pracujący winien osiągnąć maksimum władzy i wpływów. Słychać było głosy: „Żądamy broni; salwami rewolwerów przypomnimy, że Polska nie zginęła, że z niewolą się nie pogodziła”, „Niechaj manifestacja na Grzybowie stanie się

zaczątkiem walki zbrojnej o Polskę wolną i sprawiedliwą" i t. p. wypowiedziano zdania.

W oznaczonym dniu, udałem się w towarzystwie „Jarosa” na Grzybów. Zastaliśmy już tam nieprzeliczone tłumy stojącej w gromadach, lub spacerującej publiczności. Z okien i balkonów tysiące głów wychylało się, wypatrując w tłumie grupy straceńców, którzy wypowiedzieli walkę potężnej sile zbrojnej caratu. W stronie kościoła spostrzegam grupę akademików: — Uniwersytet, Politechnika, Weterynaria i uczniowie gimnazjów. Sądziłem, że znalazłem samo serce manifestacji, gdyż słowo—akademik, było w owych czasach nieledwie synonimem buntu przeciw zaborcy. Mówię do „Jarosa”:

— Chodźmy tam.

— Wejdźmy na stopnie kościoła — odpowiada — stąd będzie widok na cały plac.

Gdy z wyżyny stopni kościelnych spojrzałem na plac, wielkie wrażenie zrobiła na mnie rozkołysana fala głów ludzkich.

Gdy nabożeństwo skończyło się i wielka fala ludzka spływała po stopniach kościoła, nagle załopotał czerwony sztandar i popłynęła znana z dzieciństwa pieśń:

Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę,

Choć burza wrogich żywiołów wyje,

Chociaż nas gnębią siły ponure,

Chociaż niepewne jutro niczyje.

Naprzód Warszawo, na walkę krwawą,

Świętą i prawą marsz, marsz Warszawo

Na dźwięk pieśni rewolucyjnej i widok sztandaru „Jaros” aż zagwizdał z wielkiej emocji; schwytał mnie za rękę i rzuciliśmy się pędem w stronę grupy manifestantów otaczających sztandar. Pochód ruszył w kierunku ulicy Bagno. Zgromadzeni na placu tłumnie przyłączali się do pochodu. Ale zaraz jak z pod ziemi wyrosło wojsko i policja, która z obnażonymi szablami rzuciła się na demonstrantów, chcąc im odebrać sztandar i wówczas demonstranci poczęli strzelać z rewolwerów. Policjanci pierzchnęli pozostawiając zabitych i rannych.

Za nami, koło kościoła także słyhać było wystrzały. Grupa demonstrantów ostrzeliwała wojsko, które strzelało także, usiłując atakować. Na całym placu uwijali się kozacy strzelając, bijąc szablami i nahajkami. Publiczność poczęła uciekać i na placu zakłębiło się, tymbardziej, że ukryć się nie było możliwości, gdyż sklepy i bramy były pozamykane. W kłębowskiu tym „Jaros” zniknął gdzieś w tłumie.

Uciekając wraz z publicznością, pobiegłem do pobliskiej bramy. Tu uchylono furtkę i jakieś życzliwe ręce wciągnęły mnie do środka. Wyszedłem dopiero gdy strzelanina ucichła i plac opustoszał. Sądziłem, że niebezpieczeństwo minęło, chociaż trwało jeszcze oblężenie kościoła przez kawalerię i policję.

Nagle w oddali spostrzegam przed sobą nową grupę demonstrantów, a za sobą słyszę trzask kopyt końskich. Oglądam się i widzę z prze-

strachem konny oddział żołnierzy z wzniesionymi szablami, pędzący w szalonym tempie wprost na mnie. O ukryciu się nawet nie można było myśleć, gdyż wszystkie bramy i sklepy były „na mur” zamknięte. Począłem uciekać przed siebie. Uchem chwytałem coraz głośniejszy trzask kopyt końskich; oglądałem się i w tym momencie padam na bruk, potknąwszy się o wyboje „kocich łbów”. Jeszcze



Wojciech Kossak.

Wspomnienia z lat dziecińczych.

chwila i widzę tuż nad sobą kopyta i brzuchy końskie, a po tym słyszę znów słabnący trzask kopyt i oddalone okrzyki.

Cud chyba sprawił, że nie zostałem stratowany kopytami końskimi.

Zwycięzcy rozpędziwszy grupę demonstrantów, wracają. Zerwawszy się z ziemi, zaczynam uciekać w przeciwnym kierunku i znów słyszę za sobą coraz głośniejszy trzask kopyt końskich i dzikie okrzyki. Na szczęście uchylają się drzwi ja-

kiegoś sklepu, z których wyłania się głowa kobieca, a po tym ręce, które mnie wciągają do wnętrza. Ledwie zdołano zatrzaskać drzwi, gdy rozległy się uderzenia kolbami karabinów i ochrypli głos:

— *Odpiraj!* (otwieraj). Ale nakaz ten był już bezskuteczny. Ukryto mnie i wypuszczono dopiero po zupełnym uspokojeniu się.

Dla wspomnień o manifestacji na Grzybowie mam pewien sentyment. Obraz ten we wspomnieniach jest wciąż świeży i tak realny, jak gdyby działo się to dopiero wczoraj. Sentyment dla tego wspomnienia wzmógł się we mnie jeszcze, gdy z czasem zdałem sobie sprawę, że „Grzybów” był to czyn o znaczeniu historycznym, gdyż od tego momentu właściwie zaczęła się po roku 1863 zbrojna walka o wolność Polski.

Manifestacją na Grzybowie zaczęły się pamiętne „dni chwycenia młotów w dłoń”. A po tym już w styczniu 1905 r. wybuchnął strajk powszechny.

Stały wszystkie fabryki, tramwaje, dorożki. Pozamykano sklepy. Zbuntował się cały świat pracy. Nawet stróże (dozorcy domowi) pozrywali z czapek olbrzymie swoje blachy z rosyjskimi napisami. Wieczorami słychać było wystrzały i brzęk tłuczonego szkła latarni, które rozbijano. Miasto pogrążyło się w ciemności.

Władze rosyjskie ogłosiły „stan ochrony wzmożonej”. Na arenę walki wystąpiło wojsko, które otrzymało zezwolenie strzelania do publiczności, bez uprzedzenia. Padali liczni zabici i ranni.

Z tego czasu pamiętam wielką manifestację robotniczą. Żywo rysuje się w mojej pamięci owa rozkołysana masa ludu pracującego, płynąca ulicą Okopową od strony Powązek, gdzie znajdowały się wielkie zakłady przemysłowe garbarskie Pfeifera, Temlera i Schwedego i inne, zatrudniające dziesiątki tysięcy robotników. Do pochodu przyłączyli się robotnicy wielkich fabryk: przemysłu żelaznego Wolanowskiego, firanek i koronek firmy „Szlenkier, Wydźga i Weyer”, stolarni Szczerbińskiego i innych.

Na czele pochodu między innymi znanymi mi działaczami robotniczymi znajdował się pan Jarośniński wraz z członkami „kółka wykładowego”, któremu patronował. Śpiewali oni pieśń rewolucyjną — hymn buntu i nadziei. Dziś jeszcze widzę ich oczyma wyobraźni i słyszę te głosy, brzmiące jakąś wyniosłością i wiarą, podchwytywane przez stale rosnący tłum manifestantów.

Wcisnąłem się w tę wzburzoną falę, płynącą od fabryki do fabryki. Przy fabrykach, których było wiele w tej robotniczej dzielnicy, zatrzymywano się i wysyłano delegacje, po czym gaszono ogniska, wstrzymywano maszyny i z czarnych gardzieli fabrycznych wypływały nowe fale pracującego ludu, który przyłączał się do pochodu. Tłum rosł ciągle, posuwał się wciąż naprzód jak gdyby zapatrzony, widząc przed sobą jakiś cel. Śpiewano świątoburczą pieśń na nutę „Marsylianki”, zaczynającą się od słów:

Nas nie zgnębią Mejery, Skałony,
Choć za rzezią wyprawią nam rzeź,
Ludu, sztandar swój rozwiń czerwony,
Ludu, sztandar bojowy swój wznies!

Dźwięki świątoburczych strof pieśni rewolucyjnej przygłuszyły we mnie przestrach niebezpieczeństwa i czułem tylko w głębi małego serca to wszystko, co posiada najbardziej wydziedziczona istota ludzka, powiew nadziei i poryw do szczęśliwszego życia. Przed oczyma moimi stała jak gdyby wizja wolnej i szczęśliwej Polski. Niedługo to jednak trwać miało. Pochodowi temu przy zbiegu ulic Chłodnej i Wroniej sprawiono krwawy chrzest. I tu dopiero sądzonym mi było poznać, jak wygląda zbrodnia ludzka.

Tu nastąpiło jedno z pierwszych starć z wojskiem i policją.

Na ulicy pokazał się wóz naładowany cegłą, Gorliwego woźnicę, który wbrew uchwałom strajkowym wyjechał na miasto — zatrzymano. Tłum manifestantów otoczył wóz i przewrócił. Cegły rozsypały się.

W oddali, od strony kościoła Św. Karola Boromeusza pokazał się pędzący do ataku oddział kozaków. Manifestanci skupili się i nie ustępowali. W powietrzu zawisło tchnienie bliskiej walki. Znajdowałem się w pierwszych szeregach manifestantów, gdy kozacy zaatakowali robotników. Tłum chwycił rozsypane na ulicy cegły i począł się bronić. Wówczas w sukurs kozakom nadbiegła policja. Kozacy i policja dali do tłumu kilka salw kara-

binowych i rewolwerowych. Trysnęła krew. Ludzie uciekają, przewracają się. Krzyki, obelgi, przekleństwa i skargi. Manifestanci, wśród których było wiele kobiet i dzieci, uciekają w kierunku rogatek wolskich. Ukryłem się w bramie pobliskiego domu, gdzie z poza oszklonego otworu, z bijącym sercem śledziłem przebieg pogromu. Policjanci strzelając do tłumu, biegli za uciekającymi i w tym momencie ujrzałem zbrodnię, mrozącą krew w żyłach.

Przeciwną stronę ulicy Chłodnej, przy murze browaru Machleida szedł chodnikiem starzec—robotnik, niosąc w rękę ówczesnym zwyczajem „tobolek” (tobolek—węzełek, zawierający bańkę t. j. blaszane naczynie z herbatą, oraz chleb). Starzec nie uciekał, szedł spokojnie, wierząc zapewne, że „tobolek” jest dostateczną legitymacją, iż właściciel jego wraca do domu po pracy i nie bierze udziału w manifestacji. Biegący za nim policjant z rewolwerem w rękę, wyminął starca. Ale oto zatrzymał się nagle. Wraca w zamyśleniu jak gdyby przypomniał coś sobie... zbliża się do starca... dłoń uzbrojoną w rewolwer podnosi do jego skroni. Starzec, w jakimś niewytłumaczonym przestachu czy ufności, że nic złego stać mu się nie może, ani drgnął, ani poruszył głową. Postąpił tak jeszcze parę kroków, a wraz z nim policjant z ręką u jego skroni.

I nagle... — niechaj by o tym nie było wspomnienia — huk wystrzału i bezwładne ciało starca osuwa się bez jęku do nóg swego oprawcy.

Czy widział ktoś większą krzywdę?

To też, gdy w chwilę po tym wyszedłem z bramy i z bijącym sercem oglądałem stygnące zwłoki niewinnej ofiary, zdawały się one mówić do mnie:

„Patrz chłopcze, przyjrzyj się dobrze, oto tak wygląda krzywda największa — zbrodnia ludzka. Pamiętaj!”.

Z manifestacji tej wyniosłem to okropne przeżycie, ale i doświadczenie, które w parę dni po tym przydać mi się miało w rozpoczętej akcji strajku szkolnego.

Tak u nas zaczęły się te historyczne dni.

A po tym przez całe Królestwo i dalej poprzez niezmiernie obszary państwa carów powiało wichrem rewolucji. W styczniu 1905 roku, w Petersburgu (Leningrad) wielotysięczny tłum z popem Haponem na czele udał się z petycją do cara. Na dziedzińcu Pałacu Zimowego sprawiono pochodowi krwawą masakrę, grzebiąc na wieki wiarę ludu



„powiało wichrem rewolucji”

w dobrotliwe intencje „*caria - batiuszki*”. Napięcie uczuć rewolucyjnych wzrastało w szybkim tempie.

Charakterystyką owych czasów jest to, że nawet ludzie, którzy dotychczas byli obojętni dla spraw politycznych, naraz pod wpływem tajemniczej siły uczuć zbiorowych przeobrażali się psychicznie i stawali w szeregach walczących o wolność, wskutek czego cały kraj stanął w ogniu rewolucji, która z podziemi wyszła na ulicę.

Pomimo zakazu ugrupowań politycznych starszego pokolenia, młodzież szkolna staje także w szeregach rewolucyjnych. W całym kraju padają ofiary. W Radomiu wśród kilkudziesięciu zabitych pada dwu uczniów, Rodziewicz i Szokalski. Pod hutą „Katarzyna” padło kilkadziesiąt osób zabitych, a pośród nich młodociany działacz polityczny Malewicz, uczeń gimnazjalny i wielu innych. Śmiertelna ofiara na ołtarzu wolności Ojczyzny została przypieczętowana braterstwem krwi ówczesnego pokolenia młodzieży.

Bo i jakże, czy w takiej chwili młodzież mogła pozostawać obojętna, w momencie, gdy historia krwią bojowników pisała płomienne zgłoski prawdy dziejowej? Czy wychowani na hymnach buntu naszych wieszczów narodowych, mogliśmy przyglądać się biernie temu, co już huczało bojowym wołaniem i rozgrzmotem salw karabinowych? I oto my dzieciaki swawolne, uczniaki lekkomyślne, zdrowym instyktom narodowym wiedzione występujemy na terenie szkoły do walki z zaborcą.

Tak, bo objaw ten nie był zjawiskiem oderwanym od warunków narodowych i społecznych, lecz był odcinkiem frontu walki podjętej wówczas przez społeczeństwo o wolność narodową i lepsze jutro. W strajku szkolnym znalazł wyraz nie tylko ideał dobrej szkoły lecz i ideał Wolnej Polski.

Ówczesne pokolenie młodzieży wykazało nie tylko wysokie poczucie narodowe, ale także i zrozumienie całokształtu zagadnień politycznych. Młodzież rozumiała, że nadszedł czas, kiedy powiedzieć należy — dziś albo nigdy.

Gdy rząd zaborczy ugiął się pod klęskami wojennymi na Dalekim Wschodzie i gdy pod ciężarem rozruchów wewnętrznych zachwiał się w swoich posiadach „rosyjski kolos na glinianych nogach”, młodzież szkolna zrozumiała, że jeżeli w takiej chwili nie zdołamy wyjść z otchłani niewoli na promienną drogę wolności, to już pewnie znów na całe stulecie przyjdzie nam przywdziać hańbiące szaty niewolników.

Na takim podłożu wypadków politycznych i wśród takich nastrojów wypłynęła na widownię walki sprawa strajku szkolnego. Hasło do strajku rzucili studenci i porwali za sobą gimnazystów, za którymi wystąpili i sztubacy ze szkół ludowych.

Wiadomość o wybuchu strajku w wyższych i średnich zakładach naukowych przyniósł mi Janek Ulanowicz, uczeń tajnej szkółki polskiej. Janek wyniósł z domu rodzicielskiego i pogłębił w tajnej szkole uświadomienie patriotyczne i nienawiść do szkoły rządowej, to też gorąco zachę-

cał nas do porzucenia szkoły. I bez tego czułem w sobie ten zew przewodni, siłę tajemną, która mówiła, że w takim momencie i my uczniowie początkowych szkół rządowych powinniśmy porzucić rosyjską „sztubę”.

Skąd wypływała ta siła tajemna, zdrowy instynkt narodowy, za którym i my, sztubaki swawolne, szliśmy ku instynktownie przeczuwanym ścieżkom wolności? To przeszłość narodu była tą siłą, przeszłość o cechach świetnych i pięknych, przeszłość narodu, który miał w swoich dziejach dni pełne chwały.

Byłem pewny, że wśród takich nastrojów, w naszej szkole nietrudno będzie wywołać strajk. Powstało pytanie, w jaki sposób strajk ten rozszerzyć i na inne szkoły ludowe. Tymi myślami zajęty poszedłem po rozstaniu się z Ulanowiczem do państwa Jarosińskich, gdyż spodziewałem się tam otrzymać dobrą radę.

W tym dniu, w mieszkaniu państwa Jarosińskich odbywało się zebranie konspiracyjne. Gdy zwierzyłem się z zamiaru wywołania strajku w szkołach ludowych, pan Jarosiński zaprosił mnie na zebranie, gdzie stałem się bohaterem dnia.

— Towarzysze — rzekł zwracając się do zebranych — wprowadzam nowego sprzymierzeńca, który pragnie zorganizować strajk w początkowych szkołach rządowych.

„Szurgnąłem” nogami, kłaniając się obecnym. Byłem wzruszony. Po raz pierwszy przecież znalazłem się na konspiracyjnym zebraniu „ludzi pod-

ziemnych”. Wśród zebranych znajdowała się młoda inteligentka, którą już dawniej znałem z widzenia. Słyszałem nieraz z poza uchylonych drzwi pokoju zebrań, gdy prowadziła wykłady „koła” i przewodziła dyskusjom. Zwróciła się ona do wprowadzającego:

— Towarzysz „Jeleń” (pseudonim Jarosińskiego) sprowadził nam cenny narybek, któremu moim zdaniem, należy dać „kontakt” ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, który przecież zainicjował i zorganizował ten ruch na terenie szkół średnich i wyższych. Niemniej jednak powinniśmy młodocianemu „facetowi” wskazać dzisiaj sposób postępowania. Jest to naszym obowiązkiem, gdyż walka dzieci z rosyjską szkołą jest częścią tego wielkiego boju, jaki toczy nasza partia, dążąc do usunięcia wszelkiego ucisku. To też obowiązkiem naszym jest poprzeć gorąco tę walkę, przyjść z energiczną pomocą i przyczynić się do zwycięstwa.

Zasypano mnie pytaniami: do jakiej szkoły uczęszczam, czy nauczycielem jest Polak czy Rosjanin, jak powstała wśród nas myśl urządzenia strajku, czy mamy styczność z innymi szkołami? Na te i t.p. pytania odpowiadałem bez zająknięcia.

Mówiłem o naszym „kółku”, „czytankach literackich”, stosunkach z uczniami tajnych szkół i t. p.. Słuchano mnie z uwagą. Co chwila zapypywał mnie ktoś z obecnych o jakiś szczegół dotyczący naszych zamierzeń strajkowych. Towarzysz „Jeleń” zwrócił się do mnie:

— A jakie są nastroje wśród ogółu kolegów w szkole; mój syn oczywiście nie zawiedzie, ale inni uczniowie?...

Niema obawy — odpowiedziałem — znam kolegów jak siebie, nienawiść do szkoły rosyjskiej jest wielka, wystarczy powiedzieć: „Koledzy, urządzamy strajk o spolszczenie szkoły” i wezwać do strajku, a niewątpliwie klasa opustoszeje.

— Ale może są pośród was lizusy, co pozostaną w klasie?

— Takich nie ma, gdyż nasz nauczyciel nie znosi lizusów.

— A jak się przedstawia sprawa strajku w innych szkołach?

— W innych szkołach — wyjaśniłem — wśród uczniów panują podobne nastroje. Należy się tam udać z wezwaniem, a bezwątpienia przyłączą się do strajku. Znam wielu uczniów szkół rządowych; są wśród nich bardzo dzielni, którzy brali udział w naszej manifestacji na grobie Pięciu Poległych.

— Proszę o głos — rzekł do przewodniczącego zebrania rudowłosy towarzysz, którego nazywano „Miedzianym” i zwracając się do obecnych powiedział:

— Niewątpliwie ta młodzież, w czasach obecnych, nabrzmiała buntem, da sobie radę na terenie najbliższych szkół rządowych. Obecny tu uczeń — mówił z uśmiechem, wskazując na mnie — ma już za sobą doświadczenie, a nawet przeszłość bojową. Niedalej, jak przed paru miesiącami, w tym pokoju gdzie dzisiaj obradujemy, poma-

gałem przy opatrunku rany, którą otrzymał na manifestacji, o której wspomina. Taka młodzież nie zawiedzie. Ale jest druga strona tej sprawy.

Strajk, który objął szkoły średnie i wyższe, poprzedziła wieloletnia praca organizacyjna, a uczniowie szkół początkowych występują przeciw samorzutnie. Strajk ten, jeżeli ma być skuteczny, powinien objąć wszystkie szkoły ludowe i to nie tylko w Warszawie, ale i w kraju całym. Zachodzi pytanie, czy akcja ma widoki powodzenia?

Chwila jest odpowiednia. Wszyscy od starców do dzieci buntują się. Ruch który pośród nauczycieli ludowych w ostatnich czasach jest bardzo intensywny, pozwala mieć nadzieję, że nauczyciele poprą tę akcję. Powinniśmy jednakże pomagać tam, gdzie nauczyciele Rosjanie będą się starali przeszkodzić wybuchowi strajku, oraz powinniśmy wszcząć akcję w celu rozszerzenia strajku na wszystkie szkoły ludowe w Królestwie.

Następny mówca był innego zdania.

— Darujcie — mówił — ale mam pewne wątpliwości w całej tej sprawie, a mianowicie, czy do walk politycznych należy wysuwać dzieci? Boję się, by dzieci przez nieczynność nie poddały się jakim złym wpływom, bo widzimy przecież całe zastępy dzieci ulicy, które w braku szkół marnują się i stają się łobuzami, nożowcami, złodziejami. Czy nie należy stąd wyciągnąć wniosku, że szkoła taka jaka jest, jest lepszą niż żadna?

Wśród zebranych zapanowało milczenie. Można było zauważyć pewną konsternację.

Zebranie było mieszane, inteligenci i robotnicy. Milczenie przerwał jeden z obecnych robotników:

— Ja tam powiadam, że dobrego karczma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi.

Jednak powiedzenie to niezupełnie przekonało obecnych. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, gdzie siedziała towarzyska „wykładowczyni”.

Pamiętam, że na to nieme pytanie odpowiedziała dłuższym przemówieniem, które przekonało obecnych.

— Jeden z moich przedmówców — mówiła — wysunął mocne argumenty: „Do walk nie należy wysuwać dzieci” i „szkoła rosyjska lepsza aniżeli żadna”. Na pierwszy argument odpowiem: na ogół słusznym jest twierdzenie, że na linie bojowe nie wysuwa się dzieci. Ale przecież te dzieci stają do walki samorzutnie. Jakieś tchnienie pełne odwagi przeszło nad nimi i porywa je za sobą tak, jak i cały lud polski, który porzuca fabryki, aby wywalczyć lepszą dolę i wolność. Odczuła to i zrozumiała młodzież, a teraz zdrowy instynkt narodowy stawia do walki i dzieci. Nie ulega wątpliwości, że naród, który ma taką młodzież, trzyma przyszłość w swoich rękach.

Zwracając się w moją stronę ciągnęła dalej:

— Wy dzieci odczuliście, że prawem najświętszym jest używanie mowy ojczystej, kształcenie się w niej, poznawanie za jej pomocą przeszłości i terażniejszości ojczyzny. Wy to odczuliście i pra-

gniecie uczucia te w czyn zamienić i czyn ten przyniesie wam chlubę.

A teraz odpowiem na drugi argument: „Szkoła rosyjska lepsza aniżeli żadna”. Zanim czyn wasz, dzieci, zostanie uwieńczony zwycięstwem, my ludzie dojrzały przyjdziemy wam z pomocą. I tu jest, towarzyszu — mówiła zwracając się do opo- nenta — zadanie i rola dla nas, dla dojrzałego pokolenia. Zadanie to nie łatwe i będzie wymagało dużych wysiłków i wielkiej ofiarności materialnej, ale jest to możliwe i zrobionym być musi. Pokryjemy kraj cały siecią tajnych szkół. Domy i mieszkania nasze zamienimy na szkoły, a wy dzieci — mówiła zwracając się do mnie — co ucząc się w rusyfikacyjnych szkołach potrafiłyście na „kółkach samokształceniowych” dokształcać się w duchu polskim, teraz, gdy porzucicie znie- nawidzoną szkołę rosyjską, musicie ze zdwojoną energią zdobywać wiedzę w tajnych kompletach. Nie zawiedźcie naszych nadziei.

A teraz zaczynajcie waszą walkę — z serca życzymy wam powodzenia.

Następnie radzono nad organizacją strajku, przy czym poważnie brano pod uwagę i moje zdanie. Omówiliśmy termin i technikę naszego wystąpienia, sposób podania żądań i t. p.

Byłem dumny z tego, że traktowano mnie jak dorosłego. Wzruszały mnie słowa zachęty, uznania i uściski szorstkich spracowanych dłoni, które podawano mi na pożegnanie. Gospodarz loka-

lu, wyciągając obie dłonie i ściskając mnie mocno, powiedział, że da mi „kontakt” ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej.

Byłem uszczęśliwiony.

ROZDZIAŁ VII.

Porzucenie szkoły rosyjskiej.

Masówka szkolna. — Uchwały. — Nasze żądania. — Obóz „postępowy” i „narodowy”. — Salomonowy sąd. — Nie chcemy, aby mowa ojczysta w Polsce była przestępstwem, gdy w Rosji jest cnotą. — Pamiętny dzień. — Niezatarte wrażenie. — Porzucenie szkoły.

Następnego dnia w szkole naszej zawrzało jak w ulu. W czasie wielkiej pauzy urządziliśmy „masówkę”. Zabierali głos koledzy: Edward Ruciński, ś. p. Czesław Jarosiński (powieszony w cytadeli w roku 1908), Myszkowski, Kędzierski, oraz autor niniejszego. Rzucone przeze mnie wezwanie do strajku przyjęto z zapalem. Cesiak Jarosiński zgodnie ze swoim urwisowskim temperamentem, był zdania, że szkołę należy porzucić natychmiast, wyprawiając na pożegnanie „kocią muzykę”. Miał wśród obecnych swoich zwolenników, którzy przyłączali się do jego zdania. Stanowisko to byłoby może przez ogół uczniów przyjęte, gdyby nie moje stanowcze przeciwstawienie się.

Jestem przeciwny tej propozycji — powiedziałem — nie powinniśmy opuszczać szkoły natychmiast, a tymbardziej nie wolno nam urządzać „kociej muzyki”.



Masówka szkolna

Ant. Kamieński.

... żądamy szkoły polskiej.

— Co?... Dlaczego? Tchórzysz — oburzali się uczniowie.

Nie tchórzę — odpowiedziałem — wiecie przecież, że pierwszy wystąpiłem z propozycją strajku, ale musimy przecież przed tym przygotować na piśmie nasze żądania, a „kociej muzyki” wogóle nie należy urządzać.

No to wyjaśnij nam dlaczego — niecierpliwili się.

— Prostu dlatego, że takim wystąpieniem sprawilibyśmy przykrość panu Malanowskiemu,

który mógłby pomyśleć, że to jemu urządzamy „kocią muzykę”, a przecież żaden z nas tego sobie nie życzy.

Mali wiecownicy zostali przekonani. W istocie, co pomyślałby sobie ogólnie lubiany nauczyciel, widząc nas opuszczających szkołę bez, wyjaśnienia przyczyn, a natomiast przy akompaniamencie gwizdów, pisków i krzyków. Projekt urządzenia „kociej muzyki” upadł i postanowiliśmy przygotować i wręczyć panu Malanowskiemu, jako jedyjnemu przedstawicielowi władzy szkolnej, pismo z żądaniami, po czym dopiero mieliśmy opuścić szkołę w zupełnym spokoju.

Mnie, jako najlepiej piszącemu w szkole wypracowania stylistyczne, powierzono zredagowanie odpowiedniego pisma, zawierającego nasze żądania. Umówiliśmy się, że pismo to wręczymy nauczycielowi przy odpowiednim przemówieniu. Byłem przekonany, że i przemówienie wypadnie mnie wygłosić, więc po powrocie ze szkoły zabrałem się zaraz do pracy.

Długo w noc pracowałem nad zredagowaniem naszych żądań. W celu zapoznania się z tematem przejrzałem cały szereg odezwo i pism w sprawie strajku szkolnego i począłem się gubić w labiryncie różnych kierunków ideowych. Wszystkie obozy młodzieżowe popierały strajk szkolny. Gorąco popierał strajk obóz polityczny, zwany wówczas postępowym, popierał strajk i obóz tak zwany narodowy, ale każdy z tych obozów pragnął nadać strajkowi inne zabarwienie ideologiczne.

Były to — jak już wspomniałem — czasy rewolucyjnego wrzenia na całym wielkim obszarze Państwa carów, a różnice ideologiczne odezwy młodzieżowych były oczywiście odbiciem podziału ideowego społeczeństwa dojrzałego. Obóz tak zwany postępowy, znajdujący się pod przemożnym wpływem ideologii socjalistycznej, dążył do związania strajku z ogólnym ruchem rewolucyjnym w Państwie rosyjskim i zespolenia go z rewolucyjnym ruchem robotników polskich. Obóz tak zwany narodowy, pragnął odseparować wystąpienie młodzieży zarówno od rewolucyjnego wrzenia w Rosji jak i od robotniczego ruchu polskiego.

Moje sympatie skłaniały się wówczas do obozu t. z. postępowego, ale redakcję naszych żądań rostrzygnąłem sądem salomonowym. Z ideologicznych założeń obozu t. z. narodowego umieściłem w memoriale żądanie unarodowienia szkoły, wykładowego języka polskiego, wykładów historii Polski i t. p., a z postulatów obozu t. z. postępowego, umieściłem ponad to jeszcze, żądanie obowiązkowego, powszechnego nauczania, stypendiów dla zdolniejszych uczniów na dalsze kształcenie się w średnich zakładach naukowych i inne żądania, których już nie pamiętam.

Nie przyszło mi wówczas na myśl zrobić odpisu tego pisma. Nie robiłem także żadnych notatek i dziś żałuję tego, gdy zważę jak doniosłe momenty miało się szczęście przeżywać. Więc jeżeli pragnę wydobyć z pamięci treść tego pisma, jak również i przygotowanego wówczas przemówienia, to od-

najduję tylko strzępy szczegółów. Pamiętam tylko, że przemówienie przygotowane na piśmie wypadło niezwykle kwieciście i pełne było rewolucyjnego patosu. Niemal każde zdanie było migdałem stylistycznym w rodzaju: „Zakładamy protest przeciw panowaniu rosyjskiemu w szkole”, „nie chcemy, aby mowa ojczysta w Polsce była przestępstwem, gdy w Rosji jest cnotą” i t. p.

Zarówno przemówienie jak i pismo, zawierające nasze żądania strajkowe i uzasadnienie sprawy, już następnego dnia były gotowe. W celu zabezpieczenia się przed ewentualnym dochodzeniem, nie chcąc ujawniać swego charakteru pisma, zwróciłem się do Ignasia Lipińskiego, ucznia innej szkoły rządowej, prosząc o przepisanie tego memoriału. Gdy wyjaśniłem przyczynę mojej prośby zgodził się przepisać.

I nadszedł ów pamiętny dzień, który na długie lata miał się utrwalić w mojej pamięci. Początkowo nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym, tylko uczniowie przybyli do szkoły wcześniej niż zwykle. Dopiero, gdy przejęci powagą chwili, nie zdejmując palt i tornistrów zaczęli grupami prowadzić narady i ponawiać przyrzeczenia wytrwania aż do zwycięstwa, można się było upewnić, że burza nadchodzi. Poważny nastrój mija jednak szybko, ustępując miejsca hałasowi i okrzykom, znamionującym, że okres burzy już się rozpoczął.

Nagle rozległa się głos.

— Bacność, uwaga.

Oczy wszystkich zwracają się w stronę głosu, który płynie z wysoka. Patrzą i ja w tę stronę i widzę Ceśka Jarosińskiego, stojącego w rozkroku na wierzchu dwóch ławek, w postawie „kolośa” z ręką wzniesioną.

— Dzisiaj koledzy rozpoczynamy strajk o szkołę polską — mówi dobitnie — trzymajmy się, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, a zwyciężymy — tu podniósł wzniesioną głowę i pięść, grożąc w stronę portretu cara i ciągnął dalej — a gdy wrócimy to będziemy się uczyć już „na polskom jazykie” (w języku polskim) i historii Polski. Więc pamiętajcie chłopcy „sztama”! (postanowione).

Przy tych słowach potrząsa kilkakrotnie ręką na wszystkie strony, jak gdyby ścisnął dłonie obecnych i pokazał język w stronę portretu cara, zeskakuje z ławki. Sala trzęsie się od śmiechu, hałas wzmagą się z każdą chwilą. Moznaby sądzić, że od tupania nogami, zapadnie się podłoga, a od okropnego krzyku szyby popękają.

A teraz koledzy — wołam — zajmijmy swoje miejsca, nie zdejmując palt i tornistrów.

Chłopcy rozchodzą się do swych ławek, ale hałas nie ustaje i nagle... cisza, wielka cisza... nauczyciel wchodzi.

Niezatarte wrażenie zrobiła na mnie ta nagła cisza, jaka zapanowała na sali po wejściu nauczyciela. Pan Malanowski przebiegł wzrokiem po sali, a widząc nas w paltach, domyślił się pewnie na co się zanoszą. Uśmiecha się gładząc dłonią, swoją dobrze utrzymaną bródkę, co zwykł był czynić

w chwilach dobrego usposobienia. Zajmuje miejsce na katedrze i zwraca pytający wzrok w moją stronę.

Jest to odpowiedni moment do wręczenia memoriału i wygłoszenia przemówienia. Powstaje więc z ławki, Jarosiński także podnosi się, podchodzimy do katedry. Zachęcony przyjaznym uśmiechem pedagoga, wręczam mu nasze pismo z żadaniami. Miałem właśnie wygłosić owo historyczne przemówienie, gdy stojący obok mnie Ciesiek zaczął się kręcić znacząco. Oglądał się za siebie, dając w kierunku sali znaki zachęty do opuszczenia szkoły. Naraz, nagłym ruchem pochylił się, chwycił obiema rękami poły swego mocno przydługiego (na wzrost) palt, uniósł je w górę i rzucił się pędem do drzwi wyjściowych, wołając:

— Wychodzić chłopcy!

Uczniowie zaczęli wychodzić z ławek, kierując się ku wyjściu. Po krótkiej chwili sala opustoszała.

Nie uważałem za stosowne odejść bez udzielenia nauczycielowi wyjaśnień w sprawie naszej akcji. Tymczasem pan Malanowski przeglądał nasz memoriał. Po przeczytaniu zwrócił się do mnie życzliwie, zapytując o dalsze nasze zamierzenia i t. p., nie szczędząc rad i zachęty do wytrwania. Gdy zapytany, kto opracował memoriał, odrzekłem w zaufaniu, że ja sam redagowałem, początkowo nie dawał temu wiary. Przypuszczał, że napisała go jedna z naszych matek, tymbardziej, że i charakter pisma był różny od mojego. Gdy jednak wyjaśniłem, że w celu zabezpieczenia się

przed ewentualnym dochodzeniem, uprzednio dałem memoriał do przepisania koledze z innej szkoły, nauczyciel dał mi wiary słowom.

I rozwinęła się krótka, serdeczna rozmowa, w czasie której pan Malanowski rozpraszał moje wątpliwości, oraz udzielał rad, pobudzając nadzieję zwycięstwa. Wyszedłem w doskonałym nastroju, serdecznie żegnany przez nauczyciela, z rozrzewnieniem życzącego powodzenia naszej sprawie.

Dzisiaj, gdy z mgieł wspomnienia przywołuję na pamięć tę pełną emocji chwilę daleką, jakże wyraźnie rysują się w mojej pamięci: sala szkolna, biegnący ku wyjściu Ciesiek Jarosiński, tłoczący się przy drzwiach wyjściowych sztubacy, i ta życzliwie uśmiechnięta twarz zacnego pedagoga, tak wyraźna, że gdybym był malarzem oddałbym ją dziś jeszcze w najdrobniejszych szczegółach.

ROZDZIAŁ VIII.

Pierwsze, po latach wielu, w sprawie polskiej zwycięstwo.

Dalsza akcja strajkowa. — Spełniłmy rolę iskry na zapalnym gruncie. — Pochód młodocianych buntowników. — Dyplomatyczna gra „uczcielnic”. — Aresztowanie delegacji. — W drodze do III cyrkułu policyjnego na Nowolipkach. — Rozlała się fala strajkowa. — Dalsza walka o szkołę polską. — Zakończenie.

Gdy po rozmowie z nauczycielem wyszedłem na podwórze, oczekiwali tam na mnie koledzy, brzęcząc jak rój pszczoł, zarumienieni nie tyle może od mrozu, ile z emocji, jaką im dawały te niezwykle chwile.

Należało powziąć plan dalszej akcji. Wiedziałem już jak się urządza strajk. Przed paru dniami uczestniczyłem we wspomnianym wyżej pochodzie robotniczym, posuwającym się od fabryki do fabryki. Przy fabrykach zatrzymywano się i wysyłano delegacje, po czym gaszono ogniska, wstrzy-

mywano maszyny, a z fabryk wypływały nowe masy pracującego ludu, przyłączając się do pochodu.

Z manifestacji tej wyniosłem doświadczenie, które mi się przydać miało w rozpoczętej akcji strajku szkolnego.

To też wyszedłszy po rozmowie z panem Malanowskim ze szkoły, rozumowałem słusznie, że strajk szkolny należy urządzić podobnie, to jest pójść gromadnie od szkoły do szkoły i przez delegację nakłaniać sztabaków do porzucania zajęć. W tym duchu wygłosiłem do zgromadzonych na podwórzu chłopców, krótkie przemówienie, po czym ruszyliśmy ulicami Warszawy, zatrzymując się przed każdą napotkaną szkołą.

W owym burzliwym okresie walki o wolność, społeczeństwo, a zwłaszcza sfery robotnicze wrzały duchem długo tajonego buntu. Dzieci ze szkół początkowych, pochodzące przeważnie ze sfer rzemieślniczych i robotniczych oddychały w domu atmosferą nienawiści do rządu rosyjskiego. W tych warunkach, idąc gromadą od szkoły do szkoły, na ulicach spotykaliśmy się wśród przechodniów z oznakami szczerzej sympatii, a w szkołach znajdowaliśmy grunt podminowany. Gdzie tylko zatrzymaliśmy się przed szkołą, dając znaki gromadzącym się przy oknach chłopcom, ci ochoczo opuszczali szkoły, nie znajdując naogół przeszkód ze strony nauczycielstwa.

Opuszczający szkoły uczniowie w doskonałych humorach, radośni i roześmiani przyłączali się do pochodu, znajdując tam wielu znajomych i oto uli-

cami Warszawy posuwał się pochód roześmianych buntowników, powiększając się ciągle. Początkowo nieliczny, przeobraził się w końcu w rzekę głów dziecięcych. Rozlegały się okrzyki: „Żądamy szkoły polskiej”, „Precz ze szkołą rosyjską” i t.p.. Któryś z chłopców skomponował nawet parafrazę popularnej wówczas wśród dzieci, pieśni wakacyjnej: „Hej wakacje rzecz to miła”, śpiewając głośno przy akompaniamencie wielu innych głosów:

Hej, strajk szkolny rzecz to miła, wyśmienita rzecz,
Ruska szkoła się skończyła, wyzwolenie Pan Bóg zsyła,
Cara nie chcę znać, z carską szkołą precz.

Pieśń ta spotkała się z sympatią i owacyjnymi okrzykami przechodniów, z których wielu przyłączyło się do pochodu. Tak idąc, upojeni powodzeniem zatrzymaliśmy się na Lesznie przed rządową szkołą początkową żeńską, która mieściła się w bocznej oficynie czteropiętrowego domu. Wysypaliśmy się na obszerne podwórze, dając dziewczętom znaki zachęty do opuszczenia szkoły. Dziewczęta jednak nie wykazały dość zrozumienia dla naszej akcji. Zgromadzone przy oknach nie reagowały na podawane sygnały. Zwracając się co chwila do nauczycielek zapytywały, prawdopodobnie, co to wszystko znaczy.

W szkołach początkowych męskich — jak już wspomniałem — pewien odsetek nauczycieli stanowili Polacy, natomiast szkoły żeńskie obsadzone były wyłącznie przez nauczycielki Rosjanki. Zgromadzone przy jednym z okien szkolnych nauczyciel-

ki wspomnianej szkoły, wrogo usposobione dla naszego ruchu, z minami wyrażającymi oburzenie, rozprawiały głośno, wskazując na nas.

Należało coś przedsięwziąć. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy wysłać do szkoły delegację, w celu przedstawienia nauczycielkom naszych żądań i wyjaśnienia uczennicom znaczenia walki o szkołę polską. W delegacji poszedłem ja oraz Ruciński i Jarosiński.

Nauczycielki początkowo nie przyjęły nas, polecając uczennicom oświadczyć kłamliwie, że kierowniczką są nieobecne. Gdy dziewczęta, spełniając to polecenie, oświadczyły nam: „*Gospoż uczielnic niet*” (Pań nauczycielek nie ma), odpowiedziałem oburzony:

— Gdy w całym kraju rozpoczęła się walka o mowę polską w szkole, to w takiej chwili wstydem jest zwracać się do nas po rosyjsku. Wiemy, że nauczycielki są obecne w szkole, gdyż widzieliśmy je. Proszę im powiedzieć, że nie przychodzimy robić awantury. Chcemy tylko rozmówić się z nimi.

Uczennice wyszły, aby znów wejść po chwili. Tym razem powiedziały, ale już po polsku.

— Panie nauczycielki proszą.

Nauczycielki, których twarze wyrażały coś pośredniego między strachem i oburzeniem, przyjęły nas dosyć grzecznie.

Oświadczyłem im:

— W całym Królestwie rozpoczął się strajk o szkołę polską. Wszyscy uczniowie i uczennice

porzucili szkołę rosyjską, żądając szkoły polskiej, z językiem wykładowym polskim, z wykładami historii polski i z nauczycielami Polakami. Uczennice tej szkoły przyłączają się także do strajku, proszę więc nie robić im przeszkód. Nie powrócimy, dopokąd szkoła nie będzie polską!

— „*Waszi trebowanja, dieti, mozet byt sut i chorozije i umnyje trebowanja* — odpowiedziała nauczycielka — *no borba za nich, eto už nie wasze dielo, a waszych roditielej i potomu nasi uczenicy budut prodołzat ucziťsia. I wy wozwraszczajťie w wasz klas. Puskaj už ob etich dielach chłopoczťsia wzrosłyje.* (Wasze żądania dzieci, może są dobrymi i rozumnymi żądaniami, ale walka o nie, to nie wasza rzecz, lecz waszych rodziców i dlatego nasze uczennice w dalszym ciągu będą się uczyć. I wy wracajcie do waszych szkół. Niechaj już o te sprawy troszczyć się dorośli).

— Dorośli już popierają, naszą walkę. Prosimy rozpuścić natychmiast uczennice — odpowiedziałem po polsku.

— *Razwie eto wozmożno?* — wyraziła niedowierzanie — *wied nasi uczenicy nie żelajut dielat zabastowki. Wproczem, ja ich spraszu ob etom* (czy to możliwe? przecież nasze uczennice nie życzą sobie urządzać strajku. Zresztą, zapytam je o to) i wyszła, prosząc współtowarzyszkę o rozmowę z nami.

Zbyt późno zrozumiałem, że panie te uprzednio skomunikowały się telefonicznie z „uczastkiem” (cyrkul policyjny) i umyślnie przeciągały pertrak-

tacje, aż do czasu nadejścia policji. Zamierzaliśmy właśnie opuścić te rozmowne nauczycielki, aby się zwrócić do uczennic z wezwaniem do opuszczenia szkoły, gdy wśród zgromadzonych na podwórzu uczniów wszczął się jakiś ruch i hałas, którego odgłosy dobiegły nas. Zbliżyłem się do okna, przez które wyrząłem. Na podwórzu uwijała się już policja. Sztubacy cisnęli się do bramy. Niektórzy wymachiwali rękami w stronę szkoły, i w celu wzmoczenia siły głosu przykładali do ust dłonie, złożone w formę trąby nawołując:

— Ucieka-a-ajcie, policja!

Aby przeszkodzić ucieczce zamknięto bramę, z której znów wypłynęła na podwórze fala sztubaków. Wszędzie słychać hałas i gwizdy. Charakterystycznie turkoczące gwizdki policyjne mieszały się z okrzykami dzieciarni.

— Tymczasem „Jaros”, gdy wyrzawszy przez okno zobaczył policję, swoim zwyczajem uniósł w górę poły swego palta i wołając głośno: „Nura chłopaki!” pobiegł w kierunku wyjścia, a za nim pobiegł i Ruciński. Nie mając czasu do stracenia wyszedłem także. Pod czaszką tłoczą się myśli.. uciekać, ale gdzie?... ukryć się, ale jak?

„Jaros” i Ruciński uciekając po schodach na dół, sami natknęli się na wchodzącą do sieni policję: „pristawa” (komisarza), „rewirowego” (przodownika) i „stójkowych” (posterunkowych) i zostali aresztowani. Co do mnie, to uniknąłem wówczas aresztowania tylko dzięki temu, że wybiegłem ze szkoły ostatni, a widząc, że koledzy wpadli w rę-

ce policji, zawróciłem i pobiegłem na wyższe piętro, skąd po chwili, korzystając z ogólnego zamieszania, wyszedłem niespostrzeżony.

Poszedłem za konwojem, prowadzącym tych trzynastoletnich „niebezpiecznych aresztantów”.

Konwój prowadził sam „pristaw”. Był to człowiek wysokiego wzrostu i atletycznej budowy.



Karykatura uczniowska.

J. Poliński.

„natknęli się na wchodzącą do sieni policję”.

Prowadząc konwój, szedł na przedzie, miarowym, ciężkim krokiem kolosa, z wzniesioną głową.

. z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi.
Tryumf cara północy, zwycięscy nad dziatwą.

Tuż za nim szli „niebezpieczni przestępcy”: Czesław Jarosiński i Edward Ruciński. Po bokach policjanci. Zamykał konwój patrol wojskowy

z karabinami, niewiadomo skąd przybyły. Zналиśmy tych „bohaterów”; byli to „czud gieroje” z Wołyńskiego pułku, który później tak krwawo miał się wslawić w tłumieniu rewolucji.

Tymczasem manifestujący uczniowie, którzy gwarem, krzykiem i gwizdem odprowadzali konwój, rozpędzani przez „Wołyńców” kolbami karabinów, rozchodzili się stopniowo po drodze. Liczna jeszcze grupa dotarła do bramy trzeciego cyrkułu na Nowolipkach, dokąd odprowadzono aresztowanych, ale i tę grupę wkrótce rozpędziła policja.

Tak oto raz jeszcze „car północy, zwycięzca nad dziatwą” pokonał trzynastoletnich buntowników.

Przekonawszy się, że aresztowanych kolegów osadzono w areszcie „III uczastka”, pobiegłem zaraz zawiadomić rodziców. Dzięki staraniom, a zwłaszcza dzięki poważniejszej łapówce, jaką zmuszeni byli opłacić się policji rodzice aresztowanych, po pewnym czasie chłopców zwolniono.

Nie był to jednak koniec akcji strajkowej szkół ludowych. Wieść o rozpoczęciu strajku i aresztowaniu sztubaków, lotem błyskawicy obiegła miasto, wywołując nową burzę buntu. Na tę wieść uczniowie innych rządowych szkół początkowych w Warszawie, samorzutnie porzucili zajęcia, przyłączając się do strajku, a wkrótce po tym fala strajkowa rozlała się na wszystkie szkoły ludowe w Królestwie.

* * *

W akcji strajkowej i w następnym okresie bojkotu szkoły rosyjskiej nie obeszło się bez teroru. Na terenie szkoły ludowej, w następstwie strajku nauczycielstwo — jak już wspomniałem wyżej — postanowiło, nie czekając na decyzję rządu, przystąpić do nauczania w języku i duchu polskim. Przystąpiono do realizacji tej uchwały. Jednakże znaleźli się nauczyciele, którzy mimo to nadal uczyli w języku rosyjskim, w obawie utraty posady. W tych warunkach stosowano terror w celu przeprowadzania dzieci do innych szkół, gdzie uczono po polsku.

Z takim żądaniem wchodzili do szkoły zorganizowani uczniowie. Interwencja taka była zawsze życzliwie przyjmowana przez dzieci. Akcji tej nie mogło przeszkodzić ustawianie przed domami, w których mieściły się szkoły, wart wojskowych lub policyjnych. Stójkowy (posterunkowy) lub oparty o karabin żołdat (żołnierz) stał na warcie przed bramą, nie domyślając się nawet, że teroryści pojedynczo wchodzili do domu, a po wykonaniu zadania, również po jednym opuszczali miejsce „przestępstwa”.

Przeprowadzanie dzieci ze szkoły do szkoły odbywało się mniej więcej tak: uczniowie „teroryści” wszedłszy do szkoły opornego nauczyciela, zwracali się doń o nieprzeszkadzanie akcji. Do dzieci zwracano się wyjaśniając, że w czasach obecnych dla Polaków hańbą jest uczyć się po rosyjsku.

— Zabierajcie książki — mówiono na zakończenie — przejdziemy do innej szkoły, gdzie będziecie się uczyć po polsku.

Dzieci ochoczo zabierały książki i wśród wesołego rozgwaru przechodziły do innej szkoły. Nauczyciel, któremu brakło odwagi nauczać po polsku w obawie narażenia się władzy, „ustępował przed siłą” (ciesząc się w głębi duszy z takiego obrotu sprawy).

W wielu wypadkach nie obeszło się jednak bez użycia siły. Na ulicy Wspólnej młodzież obita gorliwego rusyfikatora, inspektora szkolnego Jan-kowskiego. Obito także polakożercę, profesora wyższej uczelni Amalickiego i wielu innych. Nie obyło się także bez stosowania siły względem opornych uczniów. W tym celu stawiano w pobliżu szkół posterunki uczniowskie. Duże wrażenie w światku irredenty uczniowskiej zrobiła walka młodzieży z rosyjskimi studentami Instytutu Weterynaryjnego na Grochowie, rezultatem której było niedopuszczenie „czarnej sotni” studenckiej do uczelni. W wyniku i ta uczelnia została zamknięta.

Przy ulicy Natolińskiej dokonano zamachu zbrojnego na inspektora szkolnego. Zamach ten nie udał się. Młodego zamachowca schwytano z bronią w ręku. Stosownie do przepisów stanu wojennego groziła mu kara śmierci. Osadzony w więzieniu „na Pawiaku” uniknął śmierci tylko dzięki temu, że znalazł się w słynnej dziesiątce więźniów wykradzionych z „Pawiaka” przez

Polską Partię Socjalistyczną, której przewodził wówczas, późniejszy Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski.

Przytoczone tu wypadki teroru, w ówczesnym klimacie rewolucyjnym nie były odosobnione. Zaburzenia uczniowskie objęły cały kraj i wszędzie dochodziło do użycia siły. Pada od kuli rewolwerowej Naczelnik Kieleckiej Dyrekcji Naukowej Afanasjew, Naczelnik Dyrekcji Naukowej Radomskiej i inni polakożercy.

Były liczne ofiary, zesłania, więzienia wśród młodzieży, ale wynik — zdobycz wielka i trwała.

Szkoła polska, polska szkoła.

* * *

Tak jest. Strajk szkolny 1905 r. w całokształcie swym, mając za sobą poparcie poważnej części społeczeństwa, wywalczył szkołę polską. Była to zdobycz trwała — nabytek bezcenny.

Szkoła polska, polska szkoła!

Biedna to wprawdzie była szkoła. Biedna pod każdym względem, nie mająca żadnych praw. Utrzymywana z ofiarnego grosza ludzi dobrej woli, walcząca ciągle z represjami rządowymi, a mimo to zasiewająca wytrwale ziarno ducha polskiego w gorących sercach i rozpalonych głowach dziecka polskiego.

Bo z tego dziecka wyrosnąć miała przyszłość Narodu, przyszłość, w którą należało wierzyć i w którą Naród wierzył, jak gdyby w jakimś cudownym przecuciu.

Uboga ta i prześladowana, a jednak tryumfująca szkoła polska, była dla nas młodzieży w niewoli wyrosłej, jakże drogą. Była to przecież wiedoma zdobycz walki z rządem zaborczym i po wielu długich latach niewoli,— pierwsze w sprawie polskiej zwycięstwo.

I przeżywaliśmy wiele chwil górnych.

I sen o szpadzie, sen o wielkości stał się dla nas nie snem, lecz namacalną i wyczuwalną, pod samą powierzchnią życia pulsującą rzeczywistością.

* * *

Biegna wspomnienia... rok 1905 i późniejsze lata pracy i walk w podziemiach konspiracji...

Gdy powracam myślą do tej krainy dalekiej przeszłości i, widzę młodość tego pokolenia, którego część stanowią, dumny jestem, że do niego należałem.

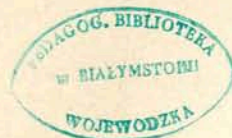
I dzisiaj, gdy z perspektywy ubiegłych lat wspominam te pamiętne czasy „kiedy zapal tworzył cudy, nowości potrzasał kwiatem i oblekał nadzieję w złote malowidła”, to widzę, że jeżeli kiedykolwiek Nemezys dziejowa wymierzyła komu sprawiedliwość ponad najśmielsze nadzieje, to uczyniła to mojemu strajkowemu pokoleniu. W czasach zaborczych żyliśmy przecież w nędzy politycznej i niewolniczym poniżeniu. Byliśmy niewolnikami i my i ojcowie nasi. Musieliśmy walczyć o strzępy najelementarniejszych praw narodowych, o możliwość nauczania się w ojczystej mowie.

Biegły lata... walczyliśmy i marzyli... aleśmy się chyba nigdy tak nie zamarzyli, żeby aż uwierzyć, że doczekamy cudu pełnej realizacji naszych marzeń. Ale nie porzucaliśmy pola pracy i walk. Sądziliśmy, że taką będzie kolejność dziejów: my posiejemy, następcy zbiorą, a jeszcze inni, którzy po nich przyjdą, zebrane plony spożywać będą.

Tymczasem po latach niewiele, zanim jeszcze szron czasu, zdołał przyprószyć siwizną głowy nasze, odeszły w niepowrotną przeszłość czasy niewoli, czasy okropne i złe. Mamy już poza sobą nie tylko odzyskanie szkoły polskiej, ale i odzyskanie zupełnej niepodległości ojczyzny. I co więcej, mamy już poza sobą wielkie czyny tej ojczyzny, która z więzów uwolniona rośnie w potęgę i znaczenie w świecie, pełniąc wielką i pełną chwały swoją misję dziejową.

Pokolenie szczęśliwe... ponad najśmielsze nadzieje...

Warszawa — lipiec 1939 r.



14434

SPIS RZECZY.

	Str.
Od wydawnictwa.	7— 16
Słowo wstępne.	17— 20

ROZDZIAŁ I.

Przedrewolucyjne nastroje.

Najwcześniejsze lata. — Represje i areszty w ochronie. — Źródłem tych nastrojów — powstanie 1863 r. i głosy z podziemnych kuźnic Nowej Polski. — Samorzutne zabawy dziecięce — nauką spisku i konspiracji. — Manifestacja na grobie Pięciu Poległych — Oko w oko z policją. — Rewirowy—symbolem carskiej Rosji.	21— 32
---	--------

ROZDZIAŁ II.

Pierwsza miłość... książki.

Czytelnie bezpłatne W. T. D. — „Madejowe łoże”. — Budziciel myśli i ducha—Bolesław Prus. — Nowe myśli i nowe uczucia. — Pęd do czytelnictwa i samokształcenia. — „Kółka literackie”. — Pierwsza przyjaźń. — Księgarnia — dostawcą „zabronionych dzieł”. — „Dziadów” część III. — Zebranie „Kółka”. — Polityczna egzaltacja.	33— 43
---	--------

ROZDZIAŁ III.

Rusyfikacyjna szkoła — torturą.

Tablica z dwugłowym orłem. — Podwórze i lokal szkolny. — Wysiłki zaborców, zmierzające do wynarodowienia Polaków. — Matki Polki, nad kołyskami niemowląt śpiewać będą kołysanki rosyjskie. — Usiłowano zniweczyć pamięć o życiu i czynach Kościuszki. — Przymusowe modły za cara. — Milcząca manifestacja. Str. 45— 54

ROZDZIAŁ IV.

Głową przebijesz mur niewoli.

Nagrody pieniężne za „usierdję” czyli za skuteczne rusyfikowanie dzieci. — Narodziny akcji narodowej nauczycielstwa. — Poetycki protest przeciw kultowi „zdrowego rozsądku”. — Wspomnienie o Marianie Bohuszu w „Ludziach bezdomnych” St. Żeromskiego — Kierunek „narodowy” i „postępowy”. — Zjazd delegatów w Pilaszkwie. — Jakim był nasz nauczyciel. 55— 64

ROZDZIAŁ V.

W cudnej krainie legend narodowych.

Lekcja rosyjskiego. — Odbudujemy „nasz dom”. — „Nieprawomyślne” intencje nauczyciela. — Temat, stanowiący „długie nocne rodaków rozmowy”. — Pauza. — Niech żyje wolna Polska! — Ks. prefekt Edward Szczodrowski. — Cudowne uczucia wieku dziecięcego — wiara i ufność. — Kościuszko nie wyrzekł: „Finis Poloniae”. — Czuwaj — nadchodzi czas... . 65— 78

ROZDZIAŁ VI.

Podmuchy rewolucji.

Manifestacja na Grzybowie. — Podłoże moralne i polityczne strajku szkolnego. — Dziś albo nigdy. — Na-

stroje wśród uczniów szkół ludowych. — Na zebraniu „ludzi podziemnych”. — Słaby głos opozycji. — Piómiennie słowa zachęty. Str. 79— 98

ROZDZIAŁ VII.

Porzucenie szkoły rosyjskiej.

Masówka szkolna. — Uchwały. — Nasze żądania. — Obóz „postępowy” i „narodowy”. — Salomonowy sąd. — Nie chcemy, aby mowa ojczysta w Polsce była przestępstwem, gdy w Rosji jest cnotą. — Pamiętny dzień. — Niezatarcie wrażenie. — Porzucenie szkoły. 99—106

ROZDZIAŁ VIII.

Pierwsze, po latach wielu, w sprawie polskiej zwycięstwo.

Dalsza akcja strajkowa. — Spełniliśmy rolę iskry na zapalnym gruncie. — Pochód młodocianych buntowników. — Dyplomatyczna gra „uczcielnic”. — Areztowanie delegacji. — W drodze do III cyrkułu policyjnego na Nowolipkach. — Rozlała się fala strajkowa. — Dalsza walka o szkołę polską. — Zakończenie. 107—119

ERRATA

Strona	31	wiersz	2	od dołu	zaborcze	zaborczej
"	39	"	12	" góry	Centerszwera	Centnerszwera
"	42	"	11	" "	jako	jakoś
"	50	"	10	" "	dod.	dop.
"	55	"	4	" dołu	„usierdie”	„usierdje”
"	62	"	6	" góry	itp	i t. p.
"	95	"	12	" "	Ruch	Ruch.